ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK X. Nr 20 (464)

NIEDZIELA 13 MAJA 1956 R.

WRAŻENIA Z POLSKI

W wydawanym przez „Free Europe Committee" w Nowym Jorku miesięczniku „News From Behind The Iron Curtain" (nr 2/1955) ukazało się streszczenie książki Ireny Penzik, która pt. „People's Representatives" ma się niebawem ukazać. Książka poświęcona jest opisowi działania reżymu komunistycznego w Polsce. Autorka wywodzi się z kół skrajnej lewicy polskiej. Córka znanego socjalisty, siostrzenica osławionego działacza komunistycznego Suchego-Katza przez długie lata pracowała w Stanach Zjednoczonych jako urzędniczka reżymu w OZN. W roku 1951/52 spędza kilka miesięcy w Polsce. Doznaje takiego zawodu, że po powrocie do Stanów „wybiera wolność". Jej wrażenia z Polski, mimo pewnego oddalenia w czasie, tak są charakterystyczne, że warto się z nimi zapoznać. RED.

„Aby zrozumieć, dlaczego moje pojawienie się wywoływało wszędzie prawdziwą sensację, wystarczyło spojrzeć na moich znajomych, kolegów i koleżanki, ubranych w wytartą odzież, która często stanowiła ich całą garderobę. Widziałam na własne oczy pracowników w ministerstwie spraw zagranicznych, którzy późną jesienią i zimą nosili buty bez skarpetek... Codziennie spotykałam kobiety, przychodzące do pracy w tych samych lichych sukniach, często brudnych i podartych. Nawet nie starały się, żeby jakoś możliwie wyglądać. Większość z nich prawie nie czesała włosów — wyglądały biednie, nieumyte i dużo starzej ponad ich wiek. Przestałam się temu dziwić, gdy odkryłam, jak wygląda ich codzienna harówka, gdy stwierdziłam brak łazienek, mydła, ubrań, gorsetów, bielizny i kosmetyków, a także urządzeń toaletowych. Kobiety polskie jakby poddały się w nierównej walce z losem."

Sześć tygodni urlopu w roku 1951-52 umożliwiło Irenie Penzik rzucenie okiem na powojenną Polskę, a to pierwsze spojrzenie spowodowało głęboki wstrząs ukazując biedę, ciężki wysiłek i rezygnację. Przed swą wizytą w Polsce wyobrażała sobie, że zobaczy tam naród ożywiony energią budowania nowej, sprawiedliwej „socjalistycznej" społeczności, a równocześnie wyolbrzymiała „kapitalistyczne" krzywdy w Ameryce, oceniając w opaczny sposób cały obraz amerykańskiego życia. Niesprawiedliwości przedwojennej Polski stały jej żywo w pamięci, a także prześladowania, jakie cierpiał jej wuj — komunista Juliusz Katz-Suchy i jej ojciec socjalista. W roku 1945, w którym umarł jej ojciec, wyszła za mąż za amerykańskiego komunistę, podzielającego jej polityczne przekonania, a w roku 1946 otrzymała pracę jako sekretarka w polskiej delegacji do Organizacji Narodów Zjednoczonych za pośrednictwem przyjaciela jej ojca Oskara Lange, który w tym czasie był polskim ambasadorem w Stanach i przedstawicielem w Organizacji Narodów Zjednoczonych. W tym samym roku jej wuj Katz-Suchy przybył do Stanów jako członek polskiej delegacji do Organizacji Narodów Zjednoczonych, by później objąć kierownictwo tej delegacji.

Od roku 1946 do 1951 Irena wierzyła prawie we wszystko, co wyczytała w gazetach komunistycznych i usłyszała z ust Katza-Suchego i jego kolegów na temat „raju", jaki tworzy się w Polsce. Wiedziała wprawdzie, że warunki ekonomiczne w kraju były dalekie od ideału, ale przypuszczała, że nastrój ogólny pełen jest mocy i wiary. Kiedy wreszcie otrzymała urlop, aby ujrzeć ten nowy świat — jej iluzje szybko się rozwiały: — zamiast entuzjazmu, równych szans dla wszystkich i równego podziału dóbr — znalazła stosunki gorsze niż przed wojną. W tym nowym „państwie dyktatury proletariatu" Polacy stali się smutni, biedniejsi, głodniejsi i bardziej pozbawieni nadziei niż kiedykolwiek.

W odróżnieniu od swych kolegów, siedzących wygodnie na posadach za granicą, nie umiała się zmusić do przyjęcia polskiej rzeczywistości bez buntu i wytłumaczyć sobie, że to, co widziała, to tylko „przejściowe zło konieczne". Katz-Suchy tłumaczył jej, że „za socjalizm trzeba płacić". Później oskarżano ją o dewiację od teorii marksistowskiej, ponieważ nie mogła przyjąć „konieczności" płacenia tak wysokiej ceny i przez tak długi okres czasu. Jej opinia o „demokracji ludowej" oparła się na obrazie życia, jakie widziała dookoła siebie i jej konkluzje były proste i jednoznaczne. Wiedziała, że produkcja osiągnęła i przekroczyła poziom przedwojenny, a mimo to bytowanie przeciętnego obywatela było nie do wytrzymania, a jego codzienne potrzeby były dla państwa sprawą obojętną. Sklepy były puste, nawet sznurowadła i guziki trudno było dostać. Szpitale były przepełnione i urągające warunkom sanitarnym, a wizyta lekarska w domu prywatnym była osiągalna tylko dla osób uprzywilejowanych lub po znajomości. Jedzenia było brak można je było otrzymać jedynie po długich godzinach stania w ogonku. Mieszkań było o wiele za mało, a ogrzewanie właściwie nie istniało, pomimo że Polska jest jednym z największych producentów węgla na świecie.

„MY JEMY PRZEWAŻNIE KLUSKI, KASZĘ I ZIEMNIAKI"

„Odrodzenie kulturalne" i nowe zjawisko „intelektualistów-robotników", o których tak głośno było w prasie partyjnej, w rzeczywistości nie istniały. Przeciwnie, życie dla większości ludzi było tylko walką o byt w najcięższych warunkach. Energia ich wyczerpywała się w usiłowaniu związania końca z końcem, zdobycia pożywienia i ubrania, zorganizowania sobie dojazdu do pracy i do domu i w ogóle znalezienia możliwości przeżycia. Wśród większości warszawiaków panował nastrój zmęczenia i zamiast radosnego odkrycia kraju o wyższym poziomie cywilizacyjnym Irena Penzik stwierdziła, że chamstwo w stosunkach między ludźmi, charakteryzujące okres okupacji, trwało nadal pod rządami komunistycznymi.

Co ją najbardziej uderzyło, poza niewygodami i trudnościami codziennego życia, to uprzywilejowane położenie partyjnej elity i konieczność posiadania protekcji, by przetrwać. Faworyzowane indywidua miały samochody prywatne do własnego użytku, przyznano im doskonałe mieszkania i udzielano pozwoleń na zakup w specjalnych sklepach z żywnością i na specjalne przydziały. Osobnikom takim wolno było ignorować dyscyplinę pracy tak ostro przestrzeganą w stosunku do reszty ludności. Tylko za pomocą protekcji wpływowych urzędników mógł zwykły człowiek otrzymać pokój w hotelu i wymknąć się z chaosu biurokracji panującej w urzędach państwowych. Ale nawet ta nowa uprzywilejowana elita odczuwała ogólną biedę i jej największym marzeniem było być wysłanym i pozostać za granicą.

Pierwsze wrażenia z Polski przekonały Irenę, że skoncentrowanie się na drobnych, ale jedynie ważnych problemach codziennej egzystencji obejmowało zarówno tych na dole jak i tych na szczycie. Jej przyjaciółka z MSZ Kalinowska była niepocieszona, gdy powróciwszy z Genewy stwierdziła, iż jej mały, ale jakże cenny zapas amerykańskiej kawy à la minute, został prawie w całości zużyty. Nie tylko zresztą był głód kawy, ale także mleka i mięsa, a masło było rzadko spotykanym luksusem. Nawet w uprzywilejowanym domu Katza-Suchego kura była raz tylko na obiad w czasie jej pobytu i została zakupiona na wolnym rynku za niebywałą cenę 180 złotych. „Zapytałam gospodyni, która obarczona rodziną prowadziła własne gospodarstwo, jak można żyć przy takich cenach? Odpowiedziała mi: My jemy przeważnie kluski, kaszę i ziemniaki. Jakoś się żyje."

Irena przyzwyczaiła się szybko do widoku ogonków ubogo ubranych kobiet, stojących na zimnie godzinami w pogoni za żywnością. Pewnego dnia, gdy przechodziła koło małego sklepu, zatrzymała ją podekscytowana kobieta o twarzy promieniejącej spod szala. „Sprzedają śledzie!" — zawołała — „sprzedają śledzie!". Była to okazja tak niecodzienna, że nieznajoma nie umiała ukryć swej radości.

NAJGORSZE GATUNKI, TANDETA, NIEDBALSTWO

Nawet jeżeli żywność była osiągalna, to gatunek jej był przeważnie podły. Pewnego wieczoru Katz-Suchy przyniósł do domu pudełko czekoladek Wedla. Słodycze z tej fabryki były słynne w przedwojennej Polsce, a obecnie są produkowane bez zmiany przez upaństwowioną fabrykę. Jej radość z tego wspomnienia przeszłości znikła jednak przy pierwszym skosztowaniu czekoladek. W smaku przypominały kredę i nie miały nic wspólnego z czekoladkami Wedla, które znała jako dziecko. „Nie widziałam powodu, dlaczego czekoladki miały być o tyle gorsze, za wyjątkiem tego, że już nikt nie pysznił się nimi jako wyrobem. Ta niedbałość widoczna była w wyglądzie i gatunku innych towarów przeznaczonych dla szerokiej publiczności, a także w brudnych, źle utrzymywanych wnętrzach sklepów, urzędów i sieni wielu domów. Wyglądało jakby nikt w ogóle nie zwracał uwagi na stronę zewnętrzną życia. W Warszawie wydawało się ono pozbawione zupełnie piękna, chociaż wiele można by było zrobić małym wysiłkiem. Nie było jednak woli zrobienia czegokolwiek za wyjątkiem specjalnych okazji."

Niedbałość widoczna była nie tylko w produktach konsumpcyjnych i wyglądzie osobistym, ale dotyczyła także samego miasta Warszawy, pomimo że w odbudowę jej włożono dużo planowania, wysiłku i poświęcenia, a nowowzniesione budynki były źródłem wielkiej dumy obywateli. Przy odbudowie zrujnowanego miasta mieszkańcy pracowali w niedziele i poza godzinami normalnej pracy, ale równocześnie dopuszczono, że wiele nowych budynków stało się ruderami w niezwykle szybkim czasie. Nowy magazyn wielodziałowy przy ulicy Brackiej był symbolem panoszącego się niedbalstwa. Kiedy sklep otwarto — na sześć miesięcy przed przyjazdem Ireny do Warszawy — cała stolica przychodziła pojeździć na ruchomych schodach — były one dopiero drugimi z kolei zainstalowanymi w mieście. W przeciągu jednak krótkiego czasu eskalator się zepsuł i wszystko wskazywało na to, że postanowiono go nie naprawiać. Poza tym nie dokładano żadnego wysiłku, aby utrzymać czystość. „Najbardziej przerażająca z całego budynku wyglądała klatka schodowa prowadząca na ulicę. Nie umiem po prostu opisać brudu i zaśmiecenia tej części budynku... brak szacunku dla budowli i wyobcowanie jej w świadomości mieszkańców było widoczne i zniechęcające."

Chociaż na wystawach magazynu przy ulicy Brackiej znajdowały się garnki, patelnie i żelazka elektryczne, to nie można było ich dostać i jak w większości sklepów w ogóle mało było towarów. Zwiedzając główną arterię sklepów na Nowym Świecie Irena znalazła tam trochę bardzo kosztownych rodzajów materiałów poza tym nieco też drogich i prymitywnie ręcznie wykonanych części garderoby i niezwykle brzydkie obuwie damskie, co ją zaskoczyło, gdyż szewcy Warszawy znani byli niegdyś w całej Europie ze swego kunsztu. Natknęła się na jeden tylko sklep z artykułami kobiecymi na pewnym poziomie. Specjalizował się on w artykułach włóczkowych, w robionych na zamówienie swetrach i kostiumach, które sprzedawano po cenie od 450 zł. do 4.000 zł. — Były to ceny, na które właściwie prawie nikt nie mógł sobie pozwolić. „Jedyną kobietą w Polsce, którą widziałam ubraną w taki kostium była Dembińska — wiceminister oświaty. Pomimo jednak wygórowanych cen sklep był zawsze pełny, może dlatego, że był jedynym w tym rodzaju."

Przeciętny obywatel zwykle nosił to samo ubranie dzień w dzień, a ponieważ czyszczenie trwało bardzo długo, większość ludzi chodziła w brudnych i źle utrzymanych ubraniach i to było regułą raczej niż wyjątkiem. Gdy narzekała do swej przyjaciółki Kalinowskiej na temat powolności i złego funkcjonowania pralni chemicznej — otrzymała taką odpowiedź: „Wy Amerykanie, gdy tylko ujrzycie plamkę na swoim ubraniu, lecicie do pralni." Nikt, za wyjątkiem cudzoziemców i żon dyplomatów, które wróciły z zagranicy, nie zdawał się przejmować tym stanem rzeczy.

„SOCJALISTYCZNY STYL"

Rozrywki w Warszawie nie były bardziej zachęcające niż chodzenie po zakupy. Szczupły przydział filmów składał się z polskich, sowieckich i ogólnie wschodnio-europejskich obrazów, większość z nich to powolne, prymitywne filmy o zakończeniu łatwym do odgadnięcia i obarczone monotonną polityczną propagandą. Z powodu złej wentylacji i braku mydła oraz łazienek, atmosfera kina po pierwszym seansie stawała się nie do zniesienia. Czasem Irena chodziła na wieczorne odczyty lub przedstawienia, ale kłopot z czekaniem nieraz dwugodzinnym — czasem na zimnie, późnym wieczorem, na jakiś środek lokomocji — zniechęcił ją do częstego wychodzenia. Inni mieszkańcy Warszawy widać podobnie na to reagowali, bo zauważyła, że ulice Warszawy wieczorami były prawie puste. Tłok w kinach i teatrach był spowodowany małą ich liczbą, a nie dużą frekwencją publiczności.

Brak bezpieczeństwa i radości życia w Polsce przygnębiły ją bardzo i to samo można było odczuć w nastroju ludzi, których spotykała. Matka pewnego dyplomaty polskiego, przebywającego za granicą, przyszła ją odwiedzić, aby odebrać paczkę od syna. Przy wejściu popatrzyła podejrzliwie na cztery ściany pokoju hotelowego Ireny, a potem wyszeptała, że kiedy po raz ostatni syn był na urlopie w Polsce, modliła się, aby mógł wyjechać znowu. Bez względu na osobiste uczucia byłaby szczęśliwa, gdyby już nigdy więcej syna nie ujrzała.

Że warunki panujące w Polsce miały tendencję raczej do niszczenia niż kultywowania życia rodzinnego — przekonała się Irena na wizycie w Bierutowicach — domu wypoczynkowym dla pracowników ministerstwa spraw zagranicznych. Obfitość jedzenia stanowiła ostry kontrast z brakami zaobserwowanymi wszędzie indziej; w czasie rozmów z dyrektorem domu i kelnerką dowiedziała się, że oboje uważają się za wyjątkowo uprzywilejowanych, że dostali tam posadę. Kelnerka była żoną oficera i dziecko zostawiła pod opieką swej matki. Pomimo żądań męża, żeby zabrała dziecko i zamieszkała z nim razem w mieście, gdzie był stacjonowany, stale odmawiała, tłumacząc to tym, że nie może zdobyć się na to, aby walczyć o każdy kawałek chleba. „Dopóki jestem tutaj — powiedziała — mogę zawsze liczyć na trzy obfite posiłki dziennie."

Wielu ludzi, których Irena spotkała, narzekało na warunki i tu i ówdzie można było zaobserwować wyraźne oznaki niezadowolenia z reżymu. Pewnego dnia, gdy jechała taksówką ze swą przyjaciółką Helenką S., zwrócono jej uwagę, że odnowiony budynek partii, który mijali, był budowlą przedwojenną. „To skrzydło — powiedziała jej koleżanka — zostało odbudowane po wojnie i nie harmonizuje z całością. Nie wiem dokładnie w jakim jest stylu." Taksówkarz, który słuchał rozmowy, nie miał żadnych wątpliwości: „To jest pewnie socjalistyczny styl" — powiedział drwiąco. Obie kobiety zamilkły zaambarasowane. Irena zauważyła także, że nowy gmach partii w czasie budowy otoczony był uzbrojoną milicją z bagnetami na broni. Wywnioskowała z tego, że te środki ostrożności miały na celu osłonę budynku przed wandalizmem i innymi demonstracjami ogólnego niezadowolenia.

BAJKI O AMERYCE

Ogólnie jednak Irena stwierdziła, że propaganda komunistyczna miała duży wpływ na intelektualistów i robotników. Gdziekolwiek się znalazła spotykała ludzi o spaczonych wyobrażeniach, jeśli chodzi o życie amerykańskie, i nie mających pojęcia o prawdziwych warunkach panujących na Zachodzie. Będąc w Krakowie spotkała starego przyjaciela rodziny, wybitnego uczonego żyjącego w pożałowania godnych warunkach z powodu braku oparcia w partii. Pomimo że rozgoryczony był bardzo swoją pozycją, wierzył niezachwianie w bajki o ubóstwie

(Dalszy ciąg na str. 2)

AUTOMACJA

„Automacja" z pewnością nie jest pięknym słowem, tym bardziej, że stanowi ono właściwie skrót dokładniejszego określenia, jakim jest „automatyzacja". Ale skróty — jak wiadomo — robią często w naszej epoce szybką karierę. Autorem słowa „automacja" jest Amerykanin John Diebold, główny teoretyk tej nowej metody, która — zdaniem wielu — dokonuje już takiego przewrotu, że śmiało go nazwać można „drugą rewolucją przemysłową". W literaturze ekonomicznej Stanów Zjednoczonych zagadnienie automacji odgrywa dziś czołową rolę; podobnie rozważane jest ono na zjazdach fachowców. Zajmują się nim już i organy ustawodawcze. W połowie października ubiegłego roku podkomisja „Joint Committee on the Economic Report" w Kongresie amerykańskim urządziła wśród ekspertów ankietę w sprawie problemów automacji, która trwała dziewięć dni. Omówiło ją krytycznie czasopismo „America".

Co oznacza dokładnie słowo „automacja"? Nie ma co do tego zgodności. Pod słowem tym — jak się wyraził jeden z rzeczoznawców komisji kongresowej — różni ludzie rozumieją tyle rzeczy, że właściwie użyteczność tego słowa stoi pod znakiem zapytania. Niemniej te liczne rzeczy istnieją — i one to rewolucjonizują całość życia gospodarczego.

Najlepszą bodaj definicję „automacji" dała niedawno „Neue Zürcher Zeitung", określając istotę automacji jako „kierowanie i kontrolę maszyn przez maszyny". Widać stąd na czym polega rewolucjonizujące działanie automacji. Pierwsza rewolucja przemysłowa zastąpiła siłę ludzkich mięśni przez maszyny, w drugiej rewolucji mózg ludzki ustępuje na rzecz maszyny w zakresie funkcji rachunkowych i kontrolnych. Automacja stworzyła nową gałąź nauki: cybernetykę, której nazwa pochodzi od słowa greckiego, oznaczającego sternika. W tym wypadku chodzi o to, by działalność maszyn wytwórczych regulowana i kontrolowana była w sposób maszynowy.

Nadejście automacji przyspieszone zostało przez drugą wojnę światową; pierwszymi modelami automacji stały się bronie kierowane na duże odległości i automatyczne. Obecnie automatyzacja poczyniła wręcz zdumiewające postępy w bardzo wielu zakładach przemysłowych w Stanach Zjednoczonych. „Neue Zürcher Zeitung" przytacza szereg przykładów z tego zakresu. Jeden z zakładów w stanie Ohio wytwarza dziennie około 650.000 amerykańskich funtów „napalmu", mając tylko czterech robotników i jednego nadzorcę. Obniżka kosztów produkcji wynosi przez to więcej niż połowę. Tego rodzaju automatyzacje stosowane są zwłaszcza w fabrykach amunicyjnych, rafineriach nafty, zakładach chemicznych, młynach zbożowych. Nowa fabryka motorów Forda w Ohio produkuje co godzinę, na taśmie długości 500 metrów, 100 motorów w 540 fazach pracy. Potrzebnych do tego jest zaledwie 41 robotników, podczas gdy poprzednio używać musiano 117. Jeszcze większe oszczędności dają maszyny automatyczne w biurach. Towarzystwa ubezpieczeniowe i tym podobne zastępują ogromnymi maszynami rachunkowymi i maszynami do pisania mechaniczną pracę tysięcy pracowników biurowych. Nie ma ścisłych danych co do rozmiarów przemysłu, który zajmuje się sporządzaniem tych maszyn i aparatów kontrolnych. Diebold ocenia wartość produkcji rocznej 750 takich przedsiębiorstw na 3 miliardy dolarów, inne źródła szacują ją na dużo niższą sumę. W każdym razie mamy tu do czynienia z niepowstrzymanym procesem, którego działanie zaznacza się zarówno w dziedzinie gospodarczej jak społecznej.

Przedsiębiorcy amerykańscy są zdania — które przeważało również w komisji kongresowej — że na dalszą metę automacja podniesie i ustabilizuje produkcję, początkowo jednak doprowadzi do przejściowych zaburzeń na rynku pracy. Wychodzą przy tym przedsiębiorcy z założenia, że rosnący popyt także nadal wymagać będzie wzrostu produkcji, któremu przemysł przy obecnych metodach nie będzie mógł sprostać. Wzrost popytu zależy ze swej strony od obniżki cen, która znowu możliwa jest tylko przy wzroście zbytu. Często gospodarcze zatem rozważania także prą w kierunku przyśpieszenia tego rewolucyjnego procesu.

Koła gospodarcze amerykańskie podkreślają, że wedle wszystkich doświadczeń wzmożona racjonalizacja zawsze w rezultacie doprowadza do wzrostu liczby zatrudnionych. Także związki zawodowe nie są przeciwne temu procesowi jako takiemu. Domagają się one tylko zabezpieczeń przeciw oddziaływaniu okresu przejściowego. Za takie zabezpieczenia uważają one podniesienie siły nabywczej, obniżenie wieku emerytury, przeszkalanie robotników, kredyty dla mniejszych przedsiębiorstw, zagwarantowane płace roczne i krótszy czas pracy. Część tych żądań wypełniona zostaje „automatycznie" przez proces automacji. Zdaniem Waltera Reuthera w ciągu najbliższych dziesięciu lat ogólnie wprowadzony zostanie czterodniowy tydzień pracy. Także żądanie zagwarantowanych płac rocznych toruje sobie drogę szybciej, niżby początkowo się mogło wydawać. Jak doniosła „America" już 70 producentów samochodowych poszło pod tym względem za przykładem Forda, a i inne gałęzie przemysłu doszły w tej sprawie do porozumień ze związkami zawodowymi. W pół roku po zapoczątkowaniu tego ruchu już milion robotników znajduje się w posiadaniu takich gwarancyj, w tej czy innej formie.

Będą też inne skutki automacji, nie zawsze całkiem dodatnie. A więc np. bardzo wysokie koszty inwestycyjne automacji zapewne zmienią stosunek między zakładami wielkimi a średnimi wybitnie na korzyść tych pierwszych, choć koszty te mają już teraz tendencję zniżkową. Dalej powiększą się wymagania inteligencji robotników — niektórzy z nich będą musieli posiadać szczególnie duży stopień inteligentnej wyobraźni. Zbędne się też staną mniej wykwalifikowane siły robocze.

Jednak równocześnie w Ameryce panuje przekonanie, że przyrost ludności i ogólne podniesienie się stopy życiowej przyczynią się do uregulowania stosunku między popytem a podażą siły roboczej. Przypuszcza się, że ogół zaludnienia Stanów Zjednoczonych w ciągu najbliższych dziesięciu lat wzrośnie o około 30 milionów. Z liczby tej, z powodu przemian w klasach wieku i rosnącego napływu do zawodów „akademickich", na rynku pracy pojawi się tylko jakieś 7 milionów. Ludzie ci, oraz ci, którzy w wyniku procesu automacji ulegną zwolnieniu, zatrudnieni będą w znacznej liczbie w tych gałęziach gospodarstwa, które zapewne rozwiną się równolegle z podwyżką stopy życiowej i wzrostem swobody (jak np. przemysł rozrywkowy i turystyka). Poza tym, jak się przypuszcza, jest także dosyć czynników, które działać będą przeciw jakiejś zbyt gwałtownej automacji. Już w wielu zakładach widoczne są jej granice, spowodowane względami technicznymi czy materiałowymi. Nadto smak konsumentów wykazuje pewną skłonność do dóbr konsumpcyjnych indywidualnych, lub co najmniej standaryzowanych nie w jednej, ale w wielu postaciach. Wreszcie automacja z powodu swych wysokich, określonych kosztów opłaca się tylko wtedy, jeśli można mieć pewność ekspansji rynków oraz równoczesnego wyzyskania zdolności produkcyjnych we wszystkich porach roku. Dlatego przemysły wrażliwe na koniunktury i zależne od sezonów, już przez to samo zmuszone będą do umiarkowania i ostrożności.

Wyraźna jest więc w Ameryce nadzieja, że druga rewolucja przemysłowa będzie miała przebieg lżejszy i lepszy, niż pierwsza rewolucja w czasach wczesnego kapitalizmu. Obserwatorzy katoliccy, w tym także tak kompetentny znawca życia społecznego jak Beniamin Masse, ostrzegają przed ujemnym lub pełnym obaw ustosunkowaniem się do nieuniknionego procesu automacji. Zamiast lamentować, trzeba się do tego procesu odpowiednio przygotować, przede wszystkim w sferze duchowej.

*

Do tych relacji „Neue Zürcher Zeitungu" trzeba jednak dodać, że w Wielkiej Brytanii automacja fabryk napotyka na opór w tych ośrodkach robotniczych, gdzie większe wpływy mają komuniści. Świadczy o tym strajk, który wybuchł w fabryce metalurgicznej Standard Motor Co., w Coventry i objął 11.000 robotników.

WRAŻENIA Z POLSKI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

amerykańskim i prześladowaniu politycznym, o których czytał w gazetach partyjnych. Wierząc prasie, również gospodyni Kalinowska, która nie była specjalną zwolenniczką ideologii komunistycznej, zapytała raz Irenę: „Dlaczego Amerykanie chcą z nami wojny?... Wszystko mi jedno, niech nawet będzie jeszcze ciężej — byle tylko nie było nowej wojny! Pogodzę się ze wszystkim, byle to nie nastąpiło!" Gospodyni Katza-Suchego zapytała pewnego dnia: „Czy życie w Ameryce jest tak ciężkie jak tutaj?" Panowało podświadome przekonanie, że życie wszędzie musi być ciężkie, że te same warunki panują wszędzie i istnieją tylko małe odchylenia odnośnie stopnia.

NIEPRZYZNAWANIE SIĘ DO STOSUNKÓW Z ZACHODEM

Chociaż wielu z jej znajomych z kół dyplomatycznych żyło za granicą przez długi okres czasu, to jednak zawsze wszyscy starali się odżegnywać od stosunków z Zachodem, czy też zachwytów nad życiem na Zachodzie. Zauważyła, że Katz-Suchy usiłował namówić swych krewnych żyjących w Stanach do powrotu do Polski, gdyż w przeciwnym razie jego reputacja mogłaby ucierpieć. Pewnego razu w czasie jej pobytu w Polsce została zaproszona na oficjalne przyjęcie przez dawnych przyjaciół ojca, którzy — chociaż zajmowali poważne stanowiska — nie byli komunistami. Katz-Suchy, gdy się o tym dowiedział, oświadczył: „Dopieroś przyjechała z Ameryki. Tego ci tylko potrzeba". To samo mając na myśli jej przyjaciółka Kalinowska — gdy zaproponowała Irenie mieszkanie u niej w Warszawie — dodała: „Proszę tylko, żeby żadna poczta z Ameryki nie przychodziła na mój adres".

Nawet znakomity poeta Tuwim, który zmarł w roku 1953, musiał się stosować do tego tonu. Cierpiał na chorobę nerwową i spędzał prawie czas w łóżku. Poprosił więc Irenę, aby zaaranżowała przez jego znajomych w Ameryce, by posyłali mu parę egzemplarzy „New Yorkera". Potem zwrócił się do Katza-Suchego, który jej towarzyszył, i zapytał: „Czy myślisz, że byłoby w porządku, gdybym napisał teraz do Artura Rubinsteina? Wiem, że jest on naszym wrogiem, ale..." „Nie, wiesz, lepiej nie" — odpowiedział Katz-Suchy.

I poeta zgodził się z nim, pomimo że Rubinstein był niezwykle hojny dla niego w czasie wojny, gdy wraz z żoną znalazł się w Nowym Jorku bez grosza.

Odrzucanie i przeinaczanie wszystkiego, co miało jakiś związek z Ameryką, było jedną z podstawowych zasad polityki partii. Podczas swego pobytu w Warszawie Irena widziała wystawę amerykańskich zabawek dla dzieci o tematyce wojennej, zorganizowaną przez ministerstwo spraw zagranicznych. Ta wystawa była rzucającym się w oczy kłamstwem; znała z własnego doświadczenia jaką ilość i różnorodność doskonałych zabawek typu mającego za zadanie wychowanie i rozwój dziecka produkuje się w Stanach. Ta prawda była jednak starannie ukrywana przed jej rodakami, ponieważ było im dane oglądanie tylko jednego rodzaju produktów przemysłu zabawkowego.

Jej ciotka Lilka (żona Katza-Suchego — lekarka) opowiadała jej o nędzy, jaką codzień widziała w żłobku, gdzie pracowała. Z powodu niedostatecznego ogrzewania i mizernego jedzenia i ubrania, wiele dzieci chorowało. „Z początku Lilka miała wielkie trudności z wprowadzeniem amerykańskich sposobów leczenia dzieci, gdyż wolno się było wzorować tylko na sowieckiej medycynie. Przywiozła ona z Ameryki wiele podręczników, lekarstw i instrumentów i używała ich pomimo wrogości, jaką napotykała."

Inny aspekt życia, który ją wyprowadzał z równowagi, to świadomość, że się jest ciągle szpiegowanym. Po raz pierwszy odczuła to zaraz po wylądowaniu. Po przylocie na lotnisko warszawskie jej entuzjazm od razu się zmniejszył, gdyż poddano ją surowej rewizji, a sposób traktowania przez milicjantów i urzędników celnych był nieprzyjemny. Zabolało ją, że pończochy nylonowe, pomadka do ust i druga torebka zostały skonfiskowane, a jej prywatne listy i książki poddane zostały drobiazgowemu badaniu. Jej niepokój wzmógł się, gdy przekonała się, że naraża się na niebezpieczeństwo przez niezadeklarowanie z góry małej sumy polskich pieniędzy, jakie miała w portmonetce. Zrozumiała też zaraz, że tylko pokrewieństwo z Katzem-Suchym uratowało ją od poważnych konsekwencji. Później pomoc jego okazała się niezbędną przy staraniach o pokój w hotelu i odebranie papierów z Bezpieki. Zrobiło to na nią takie wrażenie, że przez ostatnie dni pobytu w Polsce bała się okropnie, gdyż wydawało się jej, że nie dostanie pozwolenia na wyjazd.

Stopniowo ogarniało ją uczucie obcości we własnym kraju i nauczyła się ostrożności. Gdy była w Krakowie, zapytała znajomego, czy nie mogłaby zwiedzić nowego gigantycznego ośrodka wyrobu stali — Nowej Huty, którą budowano niedaleko. On jednak odradził jej próbowania tej wyprawy. Powiedział, że to na specjalnego zezwolenia wysokich urzędników partii i jej znajomy nie chciał ryzykować wysyłania takiej prośby w imieniu osoby na takiej pozycji, chociaż posiadającej dobrą protekcję. Kiedy później w Warszawie Irena wyraziła żal, że nie mogła tam być, do jednego ze swych przyjaciół z ministerstwa, otrzymała następującą odpowiedź: „A po cóż ci tam było jeździć? Wzięliby cię za amerykańskiego szpiega i miałabyś dużo kłopotu".

Inny znajomy poinformował ją o systemie cenzurowania poczty zagranicznej. Każdy list dochodzi do miejsca przeznaczenia, ale robi się ich kopie fotostatyczne, a te przechowuje w kartotece. Tym sposobem — tłumaczył z dumą — osiąga się za jednym zamachem dwie rzeczy: świat zewnętrzny wyobraża sobie, że nie ma cenzury, a władze bezpieczeństwa wewnątrz kraju mogą zebrać udokumentowane dowody „nielojalności".

Wizyty w ministerstwie spraw zagranicznych zwiększały jeszcze u Ireny poczucie niebezpieczeństwa. Pierwszy raz była tam w towarzystwie ciotki:

„Weszłyśmy bocznymi drzwiami... główne drzwi były tylko dla najwyższych osobistości, takich jak ministrowie, wiceministrowie i zagraniczni dyplomaci. Znalazłyśmy się w małym przedpokoju, którego część była odgrodzona ścianą ze szkła. Poza nią siedziało kilku urzędników, których zadaniem było udzielanie lub odmawianie przepustek pozwalających na wejście do środka gmachu. Żaden z nich nie miał pojęcia, czym jest elementarna grzeczność. Dopiero po długiej i nieprzyjemnej kłótni Lilki z dwoma urzędnikami i paru telefonach do wysoko postawionych osób urzędujących wewnątrz budynku dano nam przepustki. Znaczono na nich dokładny czas wejścia i nazwisko urzędnika, którego się przyszło zobaczyć. Przy wyjściu z danego urzędu przepustka musiała być podpisana przez urzędnika i dokładny czas wyjścia zanotowany..."

Wewnątrz budynku panował zupełny chaos. Ministerstwo nie miało centralnego wydziału informacji i Irenę uderzył brak koordynacji i bałagan w stopniu wprost fantastycznym. Znaleźć właściwego urzędnika, który mógł sprawę załatwić, należało tylko do szczęścia. Ministerstwo podzielone było na szereg departamentów, ale ten podział jak i też cała struktura organizacyjna były tajemnicą. Nawet urzędnicy ministerstwa nie mieli pojęcia, co ich koledzy w przyległym pokoju robili. Wobec takich stosunków pomoc Katza-Suchego była konieczna. „Jestem pewna — powiedziała Irena — że gdyby nie moje z nim pokrewieństwo, do dziś błądziłabym po tych pokojach samotna, zgubiona jednostka."

Członkowie polskich misji zagranicznych mieli olbrzymie pensje, a wiedząc o trudnych warunkach życia w Polsce robili ogromne zakupy przed powrotem do domu. Kiedy Katz-Suchy został odwołany do Polski, zakupił mnóstwo konserw, ubrań, mydła, papieru toaletowego, mebli, pościeli, lekarstw, kosmetyków, urządzeń elektrycznych, a także maszynę do prania, lodówkę, elektryczną maszynę do szycia oraz wyroby skórzane i przeróżne materiały. „Pomimo że wracał do kraju mlekiem i miodem płynącego, jak zawsze mówił o Polsce, wyposażył siebie i swoją rodzinę, jak gdyby opuszczał na zawsze cywilizację".

Mieszkanie warszawskie Katza-Suchego było umeblowane prawie wyłącznie przedmiotami importowanymi. „Drzwi mieszkania były zabezpieczone kilkoma zamkami i sztabą żelazną. Warszawa miała złą opinię, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, która datowała się od dni zaraz po wojnie, kiedy to było prawie niemożliwe znaleźć się samemu wieczorem na ulicy, bez obawy przed obrabowaniem... Pokój jego dzieci był duży i jasny, wypełniony amerykańskimi książkami, ubrankami i zabawkami. Nawet ich łóżeczka przywieziono z Ameryki. Jadalnia była niebywałym luksusem w tym mieście, gdzie był potworny brak mieszkań — umeblowana kosztownymi, nowoczesnymi meblami, dostarczonymi prosto z Nowego Jorku. Pokój gospodyni za to był mały i biednie urządzony."

„W mieszkaniu były dwie łazienki z amerykańskimi urządzeniami nawet w najdrobniejszych szczegółach. Tak więc była zainstalowana apteczka podręczna — niezwykły luksus w dzisiejszej Polsce! Były tu eleganckie, a nie jak wszędzie w Warszawie niepomalowane deski, były metalowe wieszaki do ręczników, półeczka na mydło, miękki papier toaletowy, amerykańska pasta do zębów, wspaniałe ręczniki, a także kosmetyki przeróżnego rodzaju."

SPOSOBY REŻYMOWYCH DYPLOMATÓW

Większość dyplomatów za granicą miała awersję do powrotu do Polski i aby tego uniknąć, wynaleźli technikę wiecznego narzekania na trudności życia zagranicą. Co więcej, często nawet prosili o odwołanie do kraju. Tym sposobem utrzymywali rząd warszawski w przekonaniu, że są lojalni i oddani, a tym samym zwiększali swe szanse pozostania za granicą. Jedna ze znajomych powiedziała Irenie: „Wysłano mnie do Rzymu i już na miejscu zapytano, jak mi się podoba. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że bardzo. I natychmiast mnie odwołano".

Inna znajoma, którą poznała w Polsce, zapytała: „Czy naprawdę warunki, w których nasi urzędnicy pracują w Ameryce są aż tak złe?" „Wprost przeciwnie, są one świetne!"— brzmiała odpowiedź Ireny. Wtedy ktoś inny wtrącił: „Wiedziałem, że te skurczybyki kłamią!".

Jej przyjaciółka Kalinowska wciąż powtarzała, że jest zbyt chora i zajęta pisaniem książki, aby pojechać na sesję Zjednoczenia Narodów do Paryża. Kiedy Kalinowska niedługo przed datą wyjazdu musiała nagle pójść do szpitala, Irena zauważyła: „Będzie zadowolona, że uniknęła nieprzyjemnego obowiązku". Obaj: Katz-Suchy i Birecki (który przyszedł po Suchym jako minister pełnomocny i stały przedstawiciel przy ONZ) roześmiali się: „To stary kawał, ona strasznie chce jechać". Później Kalinowska pokłóciła się z Bireckim na ten temat. Obraziła się, gdy ją nazwał obłudnicą".

Chociaż obłuda i oportunizm były powszechne wśród personelu dyplomatycznego, to ich pragnienie pozostania za granicą było oparte przede wszystkim na zapewnieniu sobie osobistej wygody i nie znaczyło wcale jakiejś dewiacji od ich komunistycznych przekonań. Dalej opowiadali bajki o nadzwyczajnym postępie w „demokracjach ludowych", a mówili z prawdziwym przekonaniem, „gdyż przyznanie nawet tylko przed sobą samym, że idealnie poczęty eksperyment zawalił się, znaczyłoby dla większości z nich coś w rodzaju intelektualnego samobójstwa". W tym sensie Irena musiała przyznać, że Katz-Suchy różnił się od innych i że jego zachowanie uchodziło za nieco niezdyscyplinowane. Chociaż od czasu do czasu wychwalał cnoty i postęp „socjalistycznej" Polski, to jednak kiedy indziej jego cyniczny humor zadawał kłam temu wychwalaniu. Jeden z jego ulubionych dowcipów był taki: „Pan N. spotyka pana Z. i pyta: „Skoro pan jest takim wielkim teoretykiem marksizmu, to proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie: czy my już mamy socjalizm, czy też będzie jeszcze gorzej?"

Katz-Suchy, podobnie jak wszyscy inni, był zupełnie ślepy, jeśli chodziło o biedę i beznadziejność życia w Polsce i Irena zanim opuściła ojczyznę zrozumiała, że jej koledzy zatracili wszelką wrażliwość na los szarego człowieka i zajmowali się jedynie utrzymaniem swych własnych uprzywilejowanych stanowisk. Wstrząs, jaki spowodowały te odwiedziny kraju, miał na nią wpływ głęboki i trudności, jakie spotkała osobiście, a także sprawy, jakie widziała, przyspieszyły jej zerwanie z wujem i obcym reżymem. W jej pojęciu rząd komunistyczny nie zrobił nic, aby ulżyć lub poprawić warunki bytu zwykłego człowieka, przeciwnie, pogorszył je, a partia, która zamiast karmić ludzi chlebem, karmi ich propagandą, straciła jakiekolwiek usprawiedliwienie swego istnienia.

*

WIZYTA W WARSZAWIE

Lato 1955

„Nie byłem w Warszawie od roku 1940. Atmosfera jest deprymująca. Ludzie wyglądają na nieszczęśliwych i źle ubrani. Jeżdżenie tramwajem było koszmarem. Były tak przepełnione, że niemożliwością było wepchnąć się do środka. Poziom kulturalny wieśniaków i robotników poprawił się bardzo od czasów przedwojennych, ale większość ludzi, jakich spotkałem, narzekała jak trudno jest związać koniec z końcem. Dużo spotyka się oszustw i nawet kradzieży, bo nie można wyżyć z zarobków...

Kobiety w domu, gdzie mieszkałem, musiały wstawać o 5.50 rano, aby stanąć w ogonku do rzeźnika. Często dopiero o jedenastej dostawały się do sklepu. Niektórzy przychodzili pod sklepy nawet o czwartej rano. Jako pierwsi kupowali mięso, a potem sprzedawali z zarobkiem innym, którzy nie mieli czasu czekać. Byli tacy, którzy traktowali stanie w ogonkach jako zajęcie, wynajmowani byli przez innych za zapłatą.

Moja znajoma poszła kupić parę butów. Nie mogła znaleźć odpowiedniego numeru w żadnym państwowym sklepie. Musiała pójść do jednego z małych, prywatnych sklepików, które wciąż jeszcze są przy ulicy Chmielnej. I tam jednak nie było jej numeru, więc zmuszona była zamówić parę lakierków specjalnie dla siebie. Cena: 1.500 złotych.

Pewnego dnia zbiła się żarówka w domu, gdzie mieszkałem. Gospodarze musieli czekać trzy miesiące na uzyskanie nowej...

Wielu Polaków dostaje pieniądze od krewnych zza granicy — przeważnie z Ameryki. Otrzymują bony z Narodowego Banku Polskiego na zakup towarów o wartości sumy przysłanej zza granicy. Uzbrojony w takie bony Polak może kupić lepsze towary — normalnie przeznaczone na eksport. Ludzie często kupują w ten sposób różne artykuły, a potem je sprzedają zarabiając na tym.

Na Pradze istnieje wolny rynek, gdzie można nawet dostać, gdzie indziej nieosiągalne, towary. Kupcy tamtejsi płacą specjalny podatek od towarów sprzedawanych i mają licencje od władzy. Można tam kupić penicylinę, której nie ma w aptekach, a także szwajcarskie zegarki na rękę".

Tłumaczyła **A. Poleska**

LIST Z RZYMU

Audiencje: Hammerkjoeld. „Riabilitazioni" — „Metodi Comunisti" — Komunizm, progresizm, nieodporność — Sprawa beatyfikacji brata Alberta

Rzym, sobota 14. 4. 1956

Drugi tydzień kwietnia upłynął Ojcu Świętemu w zwykłym trudzie audiencji. Wysuwa się wśród nich na pierwszy plan pierwsza, od długiego czasu, audiencja prywatna: została ona udzielona świeckiemu dygnitarzowi, Szwedowi, p. Hammerskjoeld, sekretarzowi generalnemu Narodów Zjednoczonych. Audiencja ta podkreśla raz jeszcze uwagę, jaką Papież przywiązuje do spraw pokoju. P. Hammerskjoeld jechał bowiem przez Rzym do Kairu, gdzie groźne iskry trzaskają w krótkim spięciu między Egiptem a państwem Izraela, grożąc znowu ogólnym, straszliwym pożarem.

Papież przemawiał prawie co dzień: do katoliczek hiszpańskich, do delegacji miasta Paryża, nawiązującej braterstwo Rzym - Paryż, do pracowników rolnych; każda z tych mów jest ważkim wkładem w naukę Kościoła.

Równolegle do mów Papieża płyną w „Osservatore Romano" oficjalne komentarze rzecznika Sekretariatu Stanu: tu stale zwrócona jest uwaga na to, co czyni „Boga nieprzyjaciel stary". Mamy więc wiadomość o wypuszczeniu Gomołki i tzw. generałów w Warszawie; obszerny komentarz na tę i inne „rehabilitacje", dokonywane przez Moskwę; artykuł „Metodi comunisti" zajmuje się wyprawą księży czeskich, zorganizowaną przez czeskich komunistów, do Vietnamu, gdzie niektórzy z tych księży uchodzili za biskupów, by tym lepiej szerzyć „progresizm". Te artykuły — to objaw stałej nieustępliwej walki, jaką Stolica Apostolska prowadzi przeciwko progresizmowi.

*

Ale Rzym jest zawsze ciekawy: przez to centrum świata przejeżdżają najwybitniejsi, najświatlejsi ludzie. Rozmawialiśmy niedawno z jednym z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego kleru.

— Co Ojciec sądzi o obecnych sprawach Kościoła?

— Nie ma odpowiedzi na tak szeroko ujęte pytanie. Kościół — to Ciało Mistyczne Chrystusa, prawdziwe Jego życie jest w dziedzinie nadprzyrodzonej, usuwa się spod ludzkiej oceny. Dlatego taki „tour d'horizon" do jakiego mężowie stanu przyzwyczaili polityków jest, z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej, zupełnie niemożliwy. A jednak — rozumiem o co panu chodzi: chciałby pan wiedzieć, jakie są te sprawy, którymi obecnie zajmuje się Kuria Rzymska, narzędzie w ręku Papieża, Stróża Depozytu Wiary i Pasterza ludzkości. Jest to oczywiście znacznie węższy zakres niż ten, który obejmuje słowo „sprawy Kościoła". W tym zakresie zwężonym na pierwszy plan wysuwa się oczywiście zagadnienie komunizmu. Rzym patrzy na komunizm, jako na jedną z kolejno narastających fal wrogów Kościoła; błędna ta nauka jest ściśle związana z jedną z wielkich potęg świata — i to ją upodabnia do islamu. Ale doktryna islamu nie była tak całkowicie, tak powszechnie odległa od prawdy chrześcijańskiej, jak doktryna komunistyczna, przecząca wszystkim prawdom objawionym i prawie wszystkim prawdom zdrowego rozsądku. Z Opoki Piotrowej patrzy się na tę nadchodzącą ogromną falę, wzdętą przez wiatry na oceanie dziejów, ze spokojem: przeminie.

Stolica Apostolska w swojej nauce o komunizmie kładzie silny nacisk na błędność samej teorii komunizmu, na jego sprzeczność z prawem naturalnym i naturą ludzką; ale z niemniejszym naciskiem powtarza Kościół swoje przekonanie o nietrwałości potęgi moskiewskiej, przemijającej, jak fala, jak wicher.

Bo właśnie tu tkwi błąd, stanowiący podstawę innego błędu. Błąd ten jest błędem pochodnym od komunizmu: na imię mu: „progresizm". Polega on na tym, że wobec potęgi komunizmu chrześcijanie, pod wpływem błędu czy strachu, starają się znaleźć jakąś pośrednią drogę: przede wszystkim dla siebie, by móc jakoś wylawirować pomiędzy Kościołem a komunizmem, pomiędzy Watykanem a Kremlem. Łączą oni fałszywe zasady rzekomego komunistycznego postępu — z religijnością, pozbawioną właściwych prawd katolickich. A raczej — chylą głowy przed Moskwą, by unieść w ukryciu jakieś okruchy wiary katolickiej. Nie wystarczą im te okruchy na to, by mogli w służbie komunistów pozostać katolikami. Zachowują jednak pozory katolickie i szerzą dywersję wewnątrz Kościoła. Ci właśnie „progresiści" są chyba gorszym nieszczęściem niż komunizm i komuniści. Dzięki Bogu, jest ich niewielu; ośrodek główny mają w Polsce, ale daleko im do opanowania narodu polskiego. Cieszą się oczywiście poparciem komunistów. Stolica Apostolska wytęża wszystkie siły, by nie dopuścić do szerzenia się zarazy, by każdy wiedział, że nie można służyć Panu Bogu i Kremlowi. Od szeregu miesięcy Ojciec Święty w swych przemówieniach ostrzega przed progresizmem, od szeregu miesięcy „Osservatore Romano" o progresistach pisze otwarcie, jawnie, bez ogródek. Da Bóg oprze się im nadal naród polski, nie potrafią się rozlać na resztę świata.

W tej reszcie świata pleni się zło inne: „non-résistance" nazywają go we Francji. „Nieodporność". Nie jest to błąd w ocenie komunizmu czy progresizmu: to raczej brak woli oporu. Cierpią na ten brak przede wszystkim katolicy francuscy. Na taką postawę składają się rozmaite rzeczy; jedną z najważniejszych jest „lewicowość" wielu katolików francuskich; nie umieją oni ostro występować przeciwko przyjaciołom swoich lewych przyjaciół. Inni „nieodporni" — to niedoszli progresiści: nie weszli w służbę Moskwy, nie odrzucili nic z dogmatów katolickich, ale nie chcą przeciwko komunistom, ani tym bardziej przeciwko progresistom walczyć. A może najgłębsza przyczyna — to po prostu niechęć do walki w ogóle; brak woli. Czy może tylko brak męstwa? „Nieodporność" jest tym groźniejsza, że jest trudna do zauważenia, kryje się nieraz za pozorami spokoju, równowagi w polemice, miłości do zabłąkanych w progresizm czy komunizm. Sami „nieodporni" są często w dobrej wierze; gotowi są oskarżać walczących katolików o „gwałtowność", „niewyrozumiałość", o „przekraczanie granic obrony".

Trudno jest określić zasięg „nieodporności". Od jej zarzutów nie są wolni nawet bardzo wybitni przedstawiciele katolików, pisarze, dziennikarze, ba — całe zespoły redakcyjne. Hałas dokoła „nieodporności" powstał ostatnio w związku z książkami p. Jean Madiran. Czy nie przesadził w słusznym skądinąd zapale autor tych książek? To się jeszcze okaże.

Więc widzi pan — komunizm w Moskwie, progresizm z Warszawy, nieodporność z Paryża — oto najnowsze, najbardziej wymagające uwagi i działania plagi Kościoła. A przecie ze starych plag żadna właściwie nie jest zakończona: żyją i walczą przeciwko Kościołowi różne odłamy protestantyzmu i schizmy, i islam, i judaizm, i zwykłe pogaństwo. A nie wspomniałem o tym ekonomizmie, który przesłania po prostu widok na Boga setkom milionów ludzi, żyjącym w amerykańskim dobrobycie. Siła zła. A jednak — non praevalebunt.

—No, więc widzi Ojciec — Moskwa — Warszawa — Paryż — Stany Zjednoczone. Właściwie mamy klasyczny „tour d'horizon".

Mój rozmówca uśmiechnął się pogodnie.

— Jeżeli pan chce, to możemy to i tak ująć. Ale tylko niech pan pamięta: te wielkie, ważne sprawy, o których mówiliśmy — to mimo wszystko zewnętrzne, a więc wcale nie najważniejsze sprawy Kościoła. Właściwy, istotny nurt życia Kościoła jest znacznie wyżej w regionach Ducha, który tchnie, kędy chce, dla którego komunizm i islam, nawała bolszewicka czy muzułmańska — to nic, to tak, jak ten pył, który podnoszą ogromne wichry wiejące nad pustyniami i oceanami.

*

Sprawy polskie w Rzymie płyną swoim torem. Kongregacja Obrzędów dnia 10 kwietnia przedyskutowała sprawę pism Brata Alberta (Adama Chmielowskiego), założyciela polskich albertynów. Postulatorem jego sprawy jest ks. Marian Strojny, rektor Papieskiego Instytutu Kościelnego Polskiego w Rzymie. Zbadanie pism Brata Alberta przybliża dzień jego beatyfikacji.

D. E. F.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Przeniesienie śmiertelnych szczątków fundatorów zgromadzenia. Od r. 1859 jeden z założycieli polskiego zgromadzenia zakonnego zmartwychwstańców, Bogdan Jański, zmarły w 1840, został pochowany w grobowcu zgromadzenia na Campo Verano w Rzymie. W tymże grobowcu pochowano następnie dwóch generałów tegoż zgromadzenia: o. Hieronima Kajsiewicza, zmarłego w 1873, i o. Piotra Semenenkę, zmarłego w 1886. Ostatnio zakończył się proces informacyjny w sprawie beatyfikacji o. Semenenki, wobec czego kościelne władze w Rzymie zezwoliły na przeniesienie jego śmiertelnych szczątków, a także Jańskiego i o. Kajsiewicza do kościoła przy siedzibie zgromadzenia, via S Sebastianello 11 w Rzymie.

Uroczystość św. Józefa Robotnika w Ameryce. Jak wiadomo, od bieżącego roku Kościół Katolicki obchodzi w dniu 1 maja uroczystość św. Józefa Robotnika, jako patrona robotników. W związku z tym uroczystość św. apostołów Filipa i Jakuba została przeniesiona na 11 maja. W Stanach Zjednoczonych dzień 1 maja nie ma jednak tego znaczenia jak w Europie i dlatego Stolica Apostolska na prośbę Episkopatu Stanów Zjednoczonych zgodziła się na obchodzenie uroczystości św. Józefa Robotnika w Stanach Zjednoczonych w pierwszy poniedziałek września, jako w dzień tamtejszego Dnia Pracy.

Komunizm w „odwilży" a religia. Instytut Spraw Rosyjskich przy katolickim uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku przeprowadził dokładne badania obecnej polityki komunistycznej i założeń marksizmu. Po ich zakończeniu wydał odpowiednie oświadczenie, przy czym kierownik Instytutu jezuita ks. Fryderyk Wilcock stwierdził, że pozorne złagodzenie antyreligijnego kursu w krajach komunistycznych jest jedynie taktyczne i nie oznacza wcale zmiany zasadniczej. Prześladowanie religii może rozgorzeć każdej chwili, gdyż źródłem wojującego ateizmu komunistów jest materializm. Dopóki ta zasada pozostaje nie naruszona, walka z religią trwać będzie nadal, a jedynie jej metody i natężenie zmieniać się będą w zależności od bieżących politycznych celów Rosji. W ten sposób świat został jeszcze raz ostrzeżony przed obecną pozorną zmianą polityki wojującego materializmu. Głos Instytutu Spraw Rosyjskich dołączył się do kilkakrotnych ostatnich ostrzeżeń Ojca św., z których najważniejszym było przemówienie do ambasadorów przy Stolicy Apostolskiej w dniu 4 marca (podane do wiadomości naszych czytelników w ŻYCIU w numerze wielkanocnym).

Przed trybunałem wikariatu Rzymu. W wikariacie Rzymu został ukończony zwykły proces informacyjny o słudze Bożym Jerzym Matulewiczu, który był reformatorem zgromadzenia marianów, założycielem sióstr Niepokalanego Poczęcia, biskupem wileńskim i wizytatorem apostolskim na Litwę. Zmarł w Kownie w 1927 roku.

NOTATKI

NIE MA UMIARU w naszym narodzie, a zwłaszcza w naszym dziennikarskim zawodzie. Dotkniesz kogo lekko — zaraz obraza, pośmiejesz się — sąd koleżeński, podniecisz się — „wywijasz — powiadają — widłami od gnoju". Gdyby nie te widły od gnoju, gdyby chociaż tylko zwykłe widły, byłoby mi naprawdę przykro, że potrąciłem Wojciecha Zaleskiego, nie antycypując, że jest taki delikatny. Ale — żali się Zaleski w „Syrenie" z 14 kwietnia br. — widłami od gnoju dzgnął go niżej podpisany. Zaś Wojciech Zaleski nawykł tylko do szpady, do rycerskiej, ma się rozumieć, szpady.

Nie przeczę wcale. Nie będę przecież pisał laurek i powtarzał znanych rzeczy, że Wojciech Zaleski jest jednym z najwybitniejszych polskich publicystów, a tylko szkoda, że się marnuje w dziennikarskich i radiowych robótkach. Zakładam, że o tym każdy czytelnik polskich czasopism kulturalnych wie doskonale i dlatego nie przypuszczam, aby zestawienie wypowiedzi Zaleskiego z głosami publicystów komunistycznych mogło doprowadzić aż do sytuacji, którą on sam formułuje następująco: „Przychodzi mi jednak do głowy przykra myśl. Oto, dajmy na to, ktoś z listu (do radiostacji „Kraj") dowie się, że ja mam udzielać informacji o położeniu w Kraju. Potem wpadnie mu w ręce numer „Życia" i na podstawie streszczenia Bielatowicza dowie się, że sytuację w Nowej Hucie oceniam sloganem „byczo jest", a twierdzenie, że moralność tam upada, uważam za „bajkę"... Według tego „streszczenia" sądząc, można by uwierzyć."

Nie zamierzałem tego wcale powiedzieć. Napisałem natomiast w ŻYCIU (nr. 12/456), że „sukurs, z jakim pospieszył obrońcom Nowej Huty i porządków w niej publicysta emigracyjny, został protekcjonalnie pokwitowany w radio warszawskim". W prasie także. To fakt bezsporny.

A jak mógł zareagować na artykuł Wojciecha Zaleskiego pt. „Czy zburzymy Nową Hutę?" czytelnik emigracyjny, a zwłaszcza dziennikarz, którego p. Zaleski ośmiesza i poucza, biorąc go za cel swojego wystąpienia? Mimo bowiem wielkiego szacunku dla talentu pisarskiego i zdolności publicystycznych Wojciecha Zaleskiego, nikt z czytelników nie jest obowiązany dociekać, co Zaleski myśli w duchu, poprzestając tylko na tym, co wyraża w piśmie.

P. Zaleski szydzi, określając mój zwrot retoryczny — (nb. zwrot retoryczny nie jest figurą li-tylko retoryki, ale każdego rodzaju pisarskiego, a także zwykłej mowy, nawet jeśli to jest „bezmyślne ględzenie") — „dość dziwnym środkiem zaradczym". Poucza, bo pisze: „Zagadnienie nie polega na tym, jak niszczyć huty, lecz na tym, jak je budować..." Człowiek jest ciemny, jak tabaka w rogu, i dopiero od światłych publicystów dowiaduje się takich rzeczy! Że Polsce potrzebne są huty! No, no... Kto by mógł pomyśleć?

Ale moim zdaniem, zagadnienie Nowej Huty nie polega na tym, że pod Krakowem zbudowano parę wysokich pieców, siłownię i mnóstwo koszmarnych domków koszarowych. Zagadnienie polega na tym, **jakim je zbudowano kosztem, jak potworne to za sobą pociągnęło straty materialne i moralne,** do których przyznają się sami komuniści. Budowa Nowej Huty — powtarzam to jeszcze raz z uporem — odbywa się kosztem ruiny Krakowa, kosztem olbrzymich sum rzuconych w błoto, kosztem zdeprawowania dziesiątek tysięcy młodzieży, kosztem zabicia i podeptania ducha. I dlatego — powtarzam — niech jasne Boskie pioruny spalą huty, budowane w Polsce **takim kosztem!** Stalą z tych hut zresztą zbroi się nie Polska, lecz czerwone armie komunistyczne, zagrażające wolnemu światu. Czy p. Wojciech Zaleski może z lekkim sumieniem stwierdzić, że stal z Nowej Huty idzie istotnie na potrzeby polskie? Po cóż więc pisze tonem kołysanki, że „na szczęście w Polsce nie brak ludzi, którzy te rzeczy rozumieją i którzy szukają właściwych sposobów rozwiązania problemu Nowej Huty"? Dlaczego powołuje się na komunistycznego reportera, że na drodze z Krakowa do Nowej Huty stoją dwa klasztory, dodając swój komentarz, że ten fakt wpływa na moralność tamtejszej młodzieży, skoro ów reporter pisał o tym z drwinami, że **mimo istnienia klasztorów** moralność w Nowej Hucie jest opłakana? P. Zaleski zamiast grozy dostrzega pod Krakowem piastowską sielankę i uspokaja nią zgryzoty emigrantów. Odwraca uwagę ku garnkom wygrzebanym w ziemi przy budowie Nowej Huty.

Wracam do wideł od gnoju. „Poemat dla dorosłych" Ważyka rzucił światło na jeden z odcinków rozgrywającej się dziś tragedii polskiej. I oto w momencie, kiedy się pragnie wyrazić swój szczery pogląd na straszliwą krzywdę, jaką komunizm zadaje Polsce i Polakom, m. in. przy pomocy budowy Nowych Hut, otrzymuje się uderzenie pałką w głowę od publicysty emigracyjnego! Pałką albo cepem. W każdym razie nie szpadą.

*

NIE BĘDĘ polemizował na ten sam temat z pewnym recenzentem filmowym, pisującym poza tym okazjonalnie do omnibus-rebus et quibusdam aliis, gdyż dyskusja z wróżbitami jest bardzo uciążliwa. Ów wróżbita rozsnuł w „Kulturze" barwną wizję, jakie będą „następne życzenia takiego patrioty", tj. niżej podpisanego. Jakie będą, takie będą, ale na pewno inne niż życzenia „takiego recenzenta".

J. B.

WIECZÓR GRUPY „RYTM"

Wieczór grupy literackiej „Rytm", który odbył się w sali Instytutu im. gen. Sikorskiego, otworzył prezes Zw. Pisarzy dr T. Terlecki. Grupa zawiązała się w roku 1944 w Ziemi Świętej, pod przewodnictwem poety Stefana Legeżyńskiego, a w latach następnych powiększyła się, osiągając do dziś liczbę około 20 członków: poetów, krytyków i polonistów. Głównym celem jej jest współdziałać przy wydawaniu „trudnej książki" polskiej na emigracji, takiej jak poezja, szkic literacki, essay, pamiętnik. Pod firmą i znakiem (projektu Zygmunta Turkiewicza) „Rytmu" ukazały się następujące tomiki: Stanisława Kalinowskiego: „W przelocie" (wiersze), Stefana Legeżyńskiego „Złota brama" (wiersze) i „Wczoraj, dziś i jutro srebrnego ekranu" (szkice filmowe), Wacława Matejczyka „Tristesse eternelle" (wiersze) oraz Zygmunta Nowaka „In vino veritas" (wiersze). W druku znajduje się pamiętnik Zygmunta Kotkowskiego „Na kontynencie afrykańskim".

Na wieczorze odczytane zostały utwory poetyckie Jerzego Woszczynina, przebywającego w Argentynie, autora nagrodzonej przez „Głos Polski" powieści „Zona", wiersze Stefana Legeżyńskiego, autora poezji „Sydria", fragmenty książki Zygmunta Kotkowskiego „Na kontynencie afrykańskim", wiersze (w tym tłumaczenie z Shelley'a) Wiesława Strzałkowskiego, przebywającego w Hiszpanii, autora kilku tomów poetyckich wydanych w Polsce przed wojną i na emigracji. Kolejno odczytano kilka wierszy Zygmunta Nowaka, autora wydanego w Palestynie tomu wierszy „Słaniają się palmy" oraz dwa dłuższe wiersze Mariana Czuchnowskiego.

Po przerwie odczytano wiersze Jerzego Faczyńskiego, wiersze Stanisława Kalinowskiego, laureata Nagrody Młodych Związku Pisarzy Polskich, szkic krytyczny Zygmunta Turkiewicza o Norwidzie oraz wiersze autora tomu poetyckiego „Rozmowa z księżycem" Józefa Żywiny. Wszystkie utwory czytali członkowie grupy „Pro Arte": Hanka Otwinowska, Irena Różycka, Zbigniew Miłoszewski i Stanisław Nowodworski. Marian Czuchnowski czytał sam, zaś wiersze J. Żywiny odczytała Teodozja Lisiewicz.

Wieczór zgromadził liczną publiczność.

KOMUNIKAT „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"

Plan wydawniczy „BIBLIOTEKI POLSKIEJ" uległ w drugiej połowie ubiegłego roku dość znacznemu opóźnieniu z powodu kilku wypadków przewlekłych chorób personelu Drukarni Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" oraz innych nieprzewidzianych przeszkód. W chwili obecnej możemy zakomunikować naszym Czytelnikom i Odbiorcom, że plan zeszłoroczny został już całkowicie wypełniony.

Po tomach: „NA WYSOKIEJ POŁONINIE" *Stanisława Vincenza* (300 stron), „SURSUM CORDA" *Biskupa Fultona J. Sheena* (320 stron) otrzymali Subskrybenci w ostatnich dniach „PAMIĘTNIK OBLĘŻENIA CZĘSTOCHOWY" *ks. Augustyna Kordeckiego* (214 stron), a w tych dniach też otrzymają „PISMA POETYCKIE" *Adama Mickiewicza* (850 stron).

W oprawie znajduje się tom „DON CAMILLO I JEGO TRZODA" *J. Guareschiego*, ogłoszony w subskrypcji na luty br. Tom ten dojdzie do rąk Subskrybentów pod koniec maja. W druku są tomy: „KLECHDY POLSKIE" *Bolesława Leśmiana* (subskrypcja na kwiecień br.), „FATIMA" *W. T. Walsha* (subskrypcja na maj br.) i „RZECZ O POLSZCZYZNIE" *Stanisława Westfala* (subskrypcja na czerwiec br.). Wszystkie te tomy powinni Czytelnicy otrzymać zgodnie z planem, a więc pierwszy z wymienionych pod koniec maja, najdalej z początkiem czerwca, drugi pod koniec czerwca, trzeci pod koniec lipca br.

Powieść *Mariana Czuchnowskiego* „PIERŚCIEŃ I ZAMIEĆ" jest już również w druku, ale z powodu spóźnienia Autora, tom ten otrzymają Czytelnicy w terminie późniejszym, niż zapowiedziany, prawdopodobnie pod koniec czerwca br.

Podajemy również do wiadomości naszych Czytelników, że za miesiąc ukaże się w sprzedaży nowe wydanie, całkowicie wyczerpanego I tomu „BIBLIOTEKI POLSKIEJ" — „BŁOGOSŁAWIONEJ WINY" *Zofii Kossak*. Za dwa miesiące wyjdzie nowe, przejrzane i rozszerzone wydanie tomu „ŚWIAT W OCZACH NAUKI WSPÓŁCZESNEJ" *Tadeusza Felsztyna*.

Zbliżając się wreszcie do zakreślonego porządku wydawniczego, dziękujemy serdecznie naszym Subskrybentom za cierpliwość i wyrozumiałość dla Wydawnictwa.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

KSIĄŻKA SŁ. RAWICZA

Jeszcze jeden Polak zajął miejsce wśród angielskich klasyków. Sławomir Rawicz*), pisząc po angielsku, przy współpracy Ronalda Downinga, wniósł, podobnie jak jego poprzednik Józef Conrad, znakomity wkład do nowoczesnej literatury angielskiej. Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą poznać technikę tej współpracy — Rawicz pełen tragicznych i gryzących wspomnień i Downing pomagający mu ukuć właściwe słowo.

Książka dzieli się na trzy części. Wstęp mówi o okropnościach więzienia i bolszewickiego śledztwa. Młody, tuż po ślubie, oficer kawalerii, torturowany fizycznie i moralnie, załadowany do zapchanego wagonu bydlęcego, wleczony na łańcuchu z Irkucka 1000 mil przez śniegi Syberii do katorgi. Oto kronika cierpień człowieka, cierpień zadanych mu przez ludzi.

Główną część książki zajmuje opis ucieczki i fantastycznej wędrówki przez Syberię, Mongolię, pustynię Gobi, Himalaje do Indyj. Jest to kronika cierpień zadanych człowiekowi przez siły przyrody: spiekotę, mróz, pragnienie, głód, zmęczenie i rozpacz. Wreszcie ostatni, krótki rozdział opisuje radość po dotarciu do Indii, kompletne załamanie się w szpitalu, początek normalnego życia i rozstania się pozostałych przy życiu towarzyszy.

Ileż to przejmujących wrażeń pozostaje po przeczytaniu tej książki! Potężna postać Litwina Kolemenosa, słaniającego się przez gorące piaski Gobi z umierającą Krystyną na rękach — nowoczesny Lear ze swą ukochaną Kordelią; czarny łańcuch zakutych w kajdany więźniów, brnących przez zaspy Syberii i niedobitkowie wędrówki, skuleni na skalnym występie w Himalajach, rozpierający palcami powieki, by nie dać się pokonać fatalnemu snowi; i ponad wszystko niezapomniany widok jakby porażonej garstki wędrowców wokół ciała zmarłego dziewczęcia, Krystyny. To ostatnie jest kluczem do pokrzepienia i tryumfu, jaki przynosi ta książka — do miłości, która zawiązała się między wędrującą ósemką.

Jakiekolwiek ich przejścia, ani tortury, więzienie, niesprawiedliwość ludzka, ani głód, pragnienie, skwar czy mróz nie podrywają w nich potęgi miłości, a więc życia. Krystyna jest przez nich wszystkich umiłowana, jak ktoś najbardziej im bliski i drogi. Umierając patrzy po kolei na towarzyszy wędrówki, opatrując każdego z nich błogosławieństwem swej miłości.

Ta książka jest tryumfem. Jest przykładem wspaniałej współpracy między Polakiem i jego angielskim przyjacielem — tłumaczem. Opowiada dzieje tryumfalnej ucieczki. A ponad wszystko daje nam zapewnienie, że cokolwiek się stanie, doświadczany przez ludzi i naturę człowiek, może przetrwać, osierocony, wyczerpany, ale zwycięski.

Margaret Janiurek
tł. **J. J.**

*) **Sławomir Rawicz — The Long Walk.** Constable, London 1956. 15/-.

ALDOUS HUXLEY I MESKALINA

Dwa lata temu znany powieściopisarz Aldous Huxley, mieszkający od dłuższego czasu w Kalifornii, ogłosił książeczkę pt. „Doors of Perception", w której zalecał używanie narkotyku, zwanego meskaliną, jako środka do osiągnięcia „szczytowej kontemplacji" o charakterze mistycznym. Dziełko to wywołało już wówczas dosyć ożywione odgłosy, przeważnie bardzo krytyczne. Obecnie Huxley wydał drugą książkę na ten sam temat pt. „Heaven and Hell" (Chatto and Windus, cena 7/6), w której podtrzymuje swe twierdzenie o cudownych niemal efektach meskaliny.

O rozprawie tej mówił niedawno w trzecim programie BBC profesor uniwersytetu oksfordzkiego R. C. Zaehner — i mówił również w sposób mocno krytyczny. Zaehner stwierdza, że meskaliny do tej pory nie ma na sprzedaż w aptekach, niemniej pod wpływem tego, co pisał Huxley, szereg osób — m. in. sam Zaehner — próbowało meskaliny dla zbadania jej efektów. Okazało się, że efekty te są bardzo różne, zależnie od tego, kto meskalinę zażywa. Zalecanie jej jako „surogatu religii" — jak to Huxley czyni — stanowi, zdaniem Zaehnera, dowód całkowitego braku poważnego traktowania sprawy, a pisanie książki, która roztacza całą teorię doświadczeń wizjonerskich w wyniku używania meskaliny, jest całkiem bezcelowe.

„Byłoby nonsensem — stwierdza Zaehner — zaprzeczać intensywności doświadczeń Huxleya oraz faktu, iż wydawały mu się one pełne wielkiego znaczenia, podobnie jak byłoby próżną rzeczą zaprzeczać, że są obłąkani, którzy wiedzą, iż są Bogiem, Wszechświatem, lub Napoleonem Bonaparte. Doświadczenia ludzi obłąkanych rzadko kiedy przytaczane są przez panteistów jako świadectwo, popierające ich przekonania — a doświadczenia z meskaliną podpadają pod tę samą kategorię, ponieważ efekt tego narkotyku polega właśnie na wytworzeniu stanu paranormalnego u osób normalnie zdrowych na umyśle."

CHURCHILL O POCZĄTKACH ANGLII

Ukazał się właśnie pierwszy tom zakrojonego na wielką skalę dzieła Winstona Churchilla: „A History of the English - Speaking Peoples" (Cassel, cena 30/-). Tom ten zatytułowany jest „The Birth of Britain" i obejmuje okres od roku 55 przed Chrystusem do wygaśnięcia dynastii Plantagenetów w roku 1485.

„Stanowisko Sir Winstona — kończy swój artykuł sprawozdawca „Times Literary Supplement" — które ujawnia ten pierwszy pełen wigoru tom, jest retoryczne, wojownicze, optymistyczne, praktyczne, pełne życzliwości, pojętne, romantyczne, ale zarazem przemyślne..." Jego pogląd na historię mniej uwzględnia kulturę, niż anarchię, ale ostatecznie jeden człowiek nie może dziełem swym objąć wszystkiego.

NOWE KSIĄŻKI OBCE

„TRZECIA RZESZA I ŻYDZI"*)

Książka L. Poliakova i J. Wulfa o likwidacji Żydów w Europie zawiera najbardziej makabryczne opowieści, jakie się chyba kiedykolwiek ukazały. Nie jest to powieść, nie jest to nawet syntetyczny opis mordów i rabunków, dokonanych na Żydach. Książka ta — i na tym polega jej bezcenna wartość — to suchy zbiór protokołów, zeznań, cyfr i urzędowych listów (częściowo fotokopie), dokumentujących hitlerowskie zbrodnie na tym odcinku. Na 450 stronic objaśnienia i ograniczone do minimum komentarze autorów ścieśnione zostały do zaledwie 35 stronic. Nikt więc nie może stawić zarzutu autorom, że usiłowali przesadnie przedstawić tę „najstraszniejszą w dziejach ludzkości zbrodnię zbiorową". Fakty i dokumenty mówią za siebie. Na tym właśnie polega makabryczność tej fascynującej lektury.

Obszernie udokumetowane są cyfry mordów żydowskich. Co najmniej 6 milionów Żydów zginęło w całej Europie z rąk oprawców hitlerowskich, tj. 63% całego żydostwa europejskiego. Ale rozmiary tej klęski biologicznej uwydatniają się w całej rozciągłości dopiero wówczas, jeśli uświadomimy sobie, że likwidacja objęła niemal wszystkie dzieci żydowskie. W roku 1945 nie było w Europie prawie że zupełnie dzieci żydowskich poniżej lat dziesięciu.

Bestialstwo zbrodni tej nie polegało tylko na fizycznym zlikwidowaniu 6 milionów ludzi. Objawem rozwydrzenia i zezwierzęcenia, właściwego całej partii hitlerowskiej od górnej elity jej z Hitlerem, Goeringiem, Goebbelsem i Himmlerem na czele aż do sadystycznych Sturmbannführerów i zwykłych SS-Mannów, jest fakt, że mordów tych dokonano nie w warunkach emocjonalnie wytłumaczalnych, w szale złości czy zemsty, pod wpływem graniczącego z obłędem fanatyzmu. Likwidację tę przeprowadzono na zimno, na podstawie wypracowanego ze sztabową precyzyjnością planu, przewidującego z właściwą Prusakom gruntownością wszystkie szczegóły akcji od cyfrowego uchwycenia „delikwentów" aż do instrukcji dotyczących zachowania się strażników w czasie transportu do komór gazowych, by skazańcy do ostatniej chwili nie uświadamiali sobie, że idą na śmierć.

To zwyrodnienie „do szpiku kości" ludzi, zaliczających się do „narodu poetów i myślicieli" scharakteryzował najlepiej profesor Theodor Heuss, prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej, którego przemówienie, wygłoszone w roku 1952 z okazji odsłonięcia w Belsen koło Bergen pomnika ku czci ofiar hitlerowskich obozów koncentracyjnych, umieścili autorowie zamiast słowa wstępnego na początku książki. W przemówieniu tym czytamy m. in.: „Nie o mordy tylko chodzi. W istocie rzeczy chodziło o coś innego. Biologiczny prymitywizm półinteligentów wycisnął do tego stopnia swe piętno na życiu niemieckim, że mordowanie stało się zrutynizowaną, pedantyczną czynnością bez najmniejszego odczucia choćby pozoru moralnych skrupułów. Na tym polega głębia zgnilizny tego okresu. Nasza (tj. niemiecka) hańba polega na tym, że zbrodnie te dokonane być mogły na ziemi, która wydała dla świata Lessinga i Kanta, Goethego i Schillera. Nikt, absolutnie nikt nie może nas uwolnić od tej hańby."

Przemówienie to nie tylko pięknie i dobitnie charakteryzuje tę „ciemną plamę" w najnowszej historii narodu niemieckiego, jest ono zarazem dowodem, że są i byli Niemcy, którzy nie próbują się tłumaczyć lub umniejszać winy, popełnione przez hitlerowców w imieniu ich narodu, lecz razem z całym cywilizowanym światem zbrodnie te potępili i od nich się odcięli.

Szczególną wartością omawianej książki jest także jej obiektywizm. Autorzy przytaczają nie tylko „dokumenty hańby". Ostatni rozdział, zatytułowany „Solidarność i pomoc", zawiera również „dokumenty i dowody" pomocy, udzielonej Żydom przez inne narody, wolne i uciemiężone, neutralne i nawet przez członków narodu niemieckiego. Cytowane są m. in. dwie odezwy Polskiego Podziemia w Kraju, wyjęte z książki Stefana Korbońskiego („W imieniu Rzeczypospolitej"). Wzruszający jest opis mężnej postawy proboszcza kościoła katedralnego św. Jadwigi w Berlinie, ks. prałata Lichtenberga, który po „kryształowej nocy" (Kristallnacht), w czasie której podpalano synagogi żydowskie, odmawiał w katedrze berlińskiej publiczne modły za „niearyjskich chrześcijan i za Żydów". Na skutek denuncjacji został aresztowany i skazany na dwa lata więzienia a po zwolnieniu osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie zginął.

Książka ukazała się w odpowiednim momencie. Jedenaście lat dzieli nas od zakończenia wojny. Czas zabliźnił niejedną ranę i pozwolił zapomnieć niejedną krzywdę i niejedną stratę. Ale bestialstwa, dokonane na milionach ludzi, nie mogą być zapomniane. Książka nie sądzi i nie wydaje wyroku, z perspektywy lat dziesięciu utrwala jedynie to, co utrwalone być winno w pamięci ludzkiej, by „najstraszniejsza zbrodnia ludzkości" nie znalazła w przyszłości naśladowców.

S. C.

*) Leon Poliakov, Josef Wulf: „Das Dritte Reich und die Juden — Dokumente und Aufsätze" — Arami, Verlags - GmbH — Berlin — Grunewald. Stron 457.

NOTATKI NIEMIECKIE

WYZWOLENIE WSCHODNIEJ EUROPY PROGRAMEM NIEMIECKIM?

Na tydzień przed świętami wielkanocnymi profesor Hans Koch, dyrektor Instytutu Wschodnio-Europejskiego w Monachium, na zebraniu przedsiębiorców przemysłowych z zachodnich Niemiec wygłosił w Berlinie odczyt na temat polityki Związku Sowieckiego. Prof. Koch podkreślał kluczową rolę, jaką przemysł niemiecki odgrywać poczyna w życiu gospodarczym Europy i innych kontynentów. Odzyskana pozycja gospodarcza Niemiec zobowiązuje je do prowadzenia polityki „europejskiej" a nie polityki partykularno-niemieckiej. Dlatego też postulat „zjednoczenia Niemiec" powinien być — zdaniem prelegenta — rozszerzony o postulat wyzwolenia narodów wschodniej Europy.

Koch apelował do niemieckich przemysłowców o pomoc dla uchodźców z krajów wschodnio-europejskich, gdyż są oni „potencjalnymi sojusznikami" Niemiec, walczących o zjednoczenie własnego państwa.

Prof. Koch należał do składu delegacji niemieckiej, która we wrześniu ub. roku przebywała pod przewodnictwem kanclerza Adenauera w Moskwie.

50 MILIONÓW MIESZKAŃCÓW W ZACHODNICH NIEMCZECH

Liczba mieszkańców Niemieckiej Republiki Federalnej przekroczyła w ubiegłym roku 50 milionów i wynosi obecnie 50.318.000. Przyrost naturalny wyniósł w tym czasie 244.000, tj. około 5 promille.

Liczba ludności Polski wynosiła — według danych, zaczerpniętych z „Nowych Dróg" (numer styczniowy) — na początku roku bieżącego 27.5 milionów. Przyrost wynosił w roku 1954 ca 514.000, tj. 18.7 promille. Zachodnie Niemcy, liczące prawie że dwa razy tyle mieszkańców co Polska, posiadają w cyfrach absolutnych przyrost o przeszło 50% mniejszy aniżeli Polska.

Jeśli liczba mieszkańców Zachodnich Niemiec mimo to szybko narasta, to jest to wyłącznie wynikiem nieustającej fali uciekinierów ze Wschodnich Niemiec. W roku 1955 przybyło ze wschodu na zachód Niemiec 311 tysięcy uchodźców.

„OSTDEUTSCHER KULTURRAT" W BERLINIE

Kilka lat temu powstał z inicjatywy niemieckich związków uchodźczych „Ostdeutscher Kulturrat", mający na celu „utrzymanie w świadomości ogółu niemieckiego dorobku kulturalnego na Wschodzie Europy". W pierwszych dniach kwietnia br. odbyło się posiedzenie Rady Kulturalnej w Berlinie, na której ustalano program działalności, obejmujący propagowanie dorobku kulturalnego nie tylko na obszarze ziem polskich, ale i sowieckiej strefy okupacyjnej. Szczególny nacisk położono na propagowanie tego dorobku wobec młodzieży, wśród której świadomość niemieckiej „misji kulturalnej" na Wschodzie coraz bardziej zanika.

Na zakończenie sesji prezes Wschodnio-niemieckiej Rady Kulturalnej, hr. Georg Henckel von Donnersmarck z Grębocic na Śląsku Opolskim wygłosił publiczny odczyt na temat „wolności człowieka". Odczyt stanowił filozoficzną analizę pojęcia wolności, dostosowaną do współczesnych stosunków politycznych. Hr. Donnersmarck przytaczał przy uzasadnianiu swych tez liczne przykłady, zaczerpnięte z terenu Wschodnich Niemiec, ale ani jednym słowem nie wspomniał o polskich obszarach na Zachodzie. Odczyt jego wyraźnie odbijał od tenoru innych imprez, urządzanych przez koła uchodźców.

Hr. Donnersmarck mieszka obecnie w Bawarii i jest posłem do parlamentu w Bonn z ramienia CDU.

BILANS CYFROWY UCHODŹCÓW W ZACHODNICH NIEMCZECH

Według informacji, uzyskanych z bońskiego ministerstwa dla spraw wysiedlonych, przebywa obecnie na obszarze Niemieckiej Republiki Federalnej około 11 milionów wysiedleńców, pochodzących przede wszystkim z obszarów wschodniej Europy i Czechosłowacji. 94% spośród nich ma pracę, a około 50% zostało całkowicie „eingegliedert", tzn., że osiągnęli pod względem zawodowym swój dawny lub wyższy standard życiowy.

Cudzoziemskich uchodźców (heimatlose Ausländer) przebywało na początku bieżącego roku na terenie zachodnich Niemiec około 230 tysięcy, z tego 80 tysięcy Polaków względnie obywateli polskich (np. Ukraińców). Połowa z nich przybyła do Niemiec po 1 sierpnia 1945 roku.

Z sowieckiej strefy okupacyjnej uciekło do zachodnich Niemiec w ciągu roku 1955 około 300 tysięcy osób. 50% spośród nich stanowi młodzież poniżej lat 20.

Nowoutworzona wschodnio-niemiecka Lufthansa przygotowuje m.in. stałą komunikację lotniczą z Polską. W najbliższym czasie mają samoloty Lufthansy utrzymywać dwa razy w tygodniu komunikację lotniczą pomiędzy wschodnim Berlinem a Warszawą. Samoloty polskiego Lotu lądują już od dłuższego czasu we wschodnim Berlinie

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY
NIEDZIELA, 13 maja 1956 r.

ROLA PRZEORA KORDECKIEGO

Nakładem tygodnika polskiego „Straż" w Stanach Zjednoczonych wyszła świeżo spod prasy broszura dra Karola Marcinkowskiego pt. „Dwa listy Przeora A. Kordeckiego. Rok 1655".

Autor zestawił dwie wersje listu A. Kordeckiego do generała szwedzkiego B. Müllera z dnia 21 listopada 1655: a) autentyku, odnalezionego w Szwecji i ogłoszonego przez Teodora Westrina w Sztokholmie w roku 1905 oraz b) tego samego listu, lecz nieco skróconego i ze zmienioną stylizacją, który Kordecki włączył do swojej książki pt. „Nowa Gigantomachia".

Zestawiając oba teksty, zdanie po zdaniu oraz nawiązując do paktów, jakie prowadził przeor A. Kordecki z władzami okupacyjnymi celem ocalenia klasztoru, dr K. Marcinkowski dochodzi do bardzo smutnych i niestety niesłusznych wniosków, że przeor A. Kordecki zdradził Polskę i króla, że dbał wyłącznie o dobro klasztoru, a nie Rzeczypospolitej, że obrona Jasnej Góry była wyłącznie zabezpieczeniem nagromadzonych tam skarbów, że historia niesłusznie czci Kordeckiego i przypisuje Częstochowie znaczenie przełomowe w drugiej fazie wojny polsko - szwedzkiej.

Czytając z jaką pasją wyraża się autor o przeorze Kordeckim (zdrajca, przekręcił, sfałszował, kierowany oportunistycznymi względami, jasnogórska zdrada), można by potraktować broszurę, jako bibułę propagandową (patrz: wydawca!) . Przy badaniu sprawy autor jednak posługuje się metodą naukową; pozwalamy więc sobie odpowiedzieć mu kilkoma słowami.

Słusznie mówi dr Marcinkowski, że „w opracowaniach nowoczesnych historyków, ks. Augustyn Kordecki, przeor jasnogórskiego klasztoru w Częstochowie, jest zwykle przedstawiany jako bohater narodowy, jako ten, który w roku 1655 miał obudzić i porwać Naród Polski do zwycięskiej walki przeciwko najeźdźcy szwedzkiemu". Nikt nie zaprzecza, że przeor Kordecki paktował z nieprzyjacielem i starał się uchronić klasztor od interwencji wojskowej. Traktujemy to po prostu jako jego przebiegłość dyplomatyczną. Był przecież dowódcą fortecy, a w owych czasach należało do zjawisk normalnych prowadzenie rozmów z nieprzyjacielem na temat poddania lub niepoddania twierdzy; zazwyczaj przewlekano sprawę, wysyłano gońców po odsiecz, szperano po archiwach, zasłaniano się przywilejami.

Najmniej przyjemną sprawą — na to zgoda — są fakty, poprzedzające oblężenie. Ale tu autor łapie się we własne sidła. Przeor A. Kordecki na podstawie pewnego przywileju polskiego, miał prawo nie wpuścić żadnej jednostki wojskowej polskiej w obręb fortecy jasnogórskiej; i na podstawie tegoż samego przywileju, uzyskanego od Karola Gustawa, miał prawo nie wpuścić żadnego oddziału szwedzkiego. A jednak rzeczywistość pokazała, że wpuścił wojsko polskie (Stefan Czarniecki), a stawił kategoryczny opór Szwedom.

O paktowaniu Kordeckiego ze Szwedami wiedzieli dobrze współcześni; zresztą sam przeor przyznaje się do tego w swej książce. Czy współcześni wzięli mu za złe te manewry? Autor broszury boi się tego stwierdzenia i zadowala się zdaniem, że „tego chlubnego przełomu w owych dramatycznych polsko-szwedzkich zapasach dokonał nie przeor Kordecki, nie jasnogórski klasztor, lecz spowodowały go zgoła inne polskie czynniki, leżące poza obrębem jasnogórskich murów". A jakie to były czynniki — o tym zupełnie głucho.

Za zdradę króla i kraju autor obciąża winą magnatów polskich — w bardzo wielu wypadkach zupełnie słusznie. Ale że tę winę trzeba by przypisać przede wszystkim protestantom polskim (choćby tym właśnie magnatom), autor nie chce wiedzieć i nie wspomina o nich ani jednym słowem. W rezultacie więc Kordecki był zdrajcą, a protestanci dobrymi patriotami.

Istnieje zasada naukowa, że aby ocenić jakąś epokę, trzeba ją dokładnie poznać i... pokochać. Bez tej szczypty miłości historyk nie jest w stanie jasno spojrzeć w oczy faktom historycznym i sprawiedliwie ocenić działalności ludzi, żyjących w wieku, który właśnie bada. Tę słuszną zasadę, uświadomioną przez obcego uczonego, przypomniał niedawno polskim pisarzom prof. Kukiel. Klasycznym przykładem rozumienia tej kardynalnej zasady może być Henryk Sienkiewicz. Gdy mu pewnego razu prof. Józef Kallenbach*) postawił pytanie, dlaczego nie pisze nigdy nic z okresu wieku XVI, wieku tak bardzo bogatego w kulturę i opromienionego sławą najobszerniejszych granic Rzeczypospolitej, Sienkiewicz odpowiedział po prostu, że tego wieku nie rozumie. Wiemy jednakże z korespondencji powieściopisarza, że znał on doskonale epokę polskiego renesansu i czytywał jej autorów od młodych lat dzieciństwa. A jednak, nie rozumiejąc, nie mógł jej pokochać, nie pokochawszy, nie mógł o niej pisać. Pokochał natomiast, jak nikt inny, wiek XVII, a kto wie, czy studiując go, nie cisnął czasem książką o ziemię, jak to robił niekiedy Artur Górski z historią Polski, choć umiłował ją do najwyższych granic.

Czy dr Karol Marcinkowski ma świadomość swojej miłości do owej epoki, (połowy XVII wieku), którą kilkakrotnie już próbował charakteryzować i co do której, jak sam się przyznaje, często zmienia zdanie? Czy nie lepiej byłoby poddać długoletniej analizie historycznej postaci badanej epoki, a przez ten czas zżyć się z nimi, pokochać je — bez względu na to czy są złe, czy dobre — i wtedy dopiero wydać sąd... sprawiedliwy?

Dr Edward Pomorski

---

*) Z wykładów uniwersyteckich 1921-1925.

TADEUSZ ZIARSKI ROMANS SASKI (2)

CZARNA POLEWKA DLA KOCHANOWSKIEGO

Młode, dorastające, pokolenie emigracyjne, planujące skromny ślub „w ciemnym kostiumie i wieczorowym ubraniu" oraz przyjęcie weselne w pobliskim hotelu, pewnie z niedowierzaniem, może i z zazdrością, potraktowałoby szczegóły przygotowań i przebiegu wesela hrabianki Barbary Korwin-Krasińskiej z Maleszowa ze starostą radomskim Michałem Świdzińskim. Siostra Basi, szesnastoletnia Franciszka, w pamiętniku swym z 1759 roku skrzętnie jednak i wiernie notuje dane o tej uroczystości rodzinnej.

Ojciec, hrabia Stanisław Korwin - Krasiński, starosta Nowej Wsi, przeznaczył tysiąc dukatów na wyprawę ślubną najstarszej córki. Wysłał damę dworu, panią Zawistocką po zakupy weselne do Warszawy, sprowadził stamtąd krawca i kuśnierza w celu szycia sukien, futer, bielizny i pościeli.

Przy tej sposobności autorka pamiętnika, z dziewczęcą szczerością przyznaje, że normalnie każda z czterech sióstr nie miała więcej niż cztery suknie. Dwie ciemne, wełniane, na codzień, białą, perkalową, na niedziele i białą z batystu na święta. Dopiero zamążpójście przynosiło podział nagromadzonych w tym celu futer, jedwabiów, dywanów i kosztowności, na cztery równe części. Również każda z córek miała swoją skrzynię ze stołowym srebrem i beczkę puchu i pierza, rosnącą z latami. Basia ze swej beczki miała 2 pierzyny, 8 poduszek z pierza gęsiego i 4 z łabędziego puchu.

W międzyczasie szambelani dworscy rozwozili zaproszenia do wszystkich krewnych i przyjaciół w całej Polsce. Najwyższy dygnitarz dworski zawiózł zaproszenie do króla, książąt, prymasa i senatorów. Były one w formie formalnych zawiadomień o zbliżającym się ślubie, a w odpowiedzi na nie oczekiwano przysłania tylko specjalnych wysłanników do Maleszowa. Zewsząd nadchodziły liczne prezenty od rodziny i znajomych, które z częścią posagu zostały wysłane do przyszłej siedziby młodych w Sułgóstowie.

Narzeczony obdarował cennymi prezentami całą rodzinę i domowników, stosownie do zwyczaju i dobrych manier obcując przed ślubem wyłącznie z rodzicami panny młodej, z nią zaś samą rzadko się widywał i żadnych nie prowadził rozmów!

Przyszły teść osobiście napisał inwentarz wyprawy ślubnej, rozpoczynający się w tych słowach:

„Inwentarz posagu ślubnego, który ja, Stanisław Korwin-Krasiński, Starosta Nowej Wsi itd itd i Aniela z domu Humiecka, moja szlachetna małżonka, dają naszej najstarszej i ukochanej córce Barbarze, przyrzeczonej poślubić pana Michała Świdzińskiego, starostę radomskiego i upraszając łask Nieba dla naszej córki, łączymy nasze rodzicielskie błogosławieństwo 'in nomine Patris et Filli et Spiritus Sancti. Amen'."

Król przysłał jako swego przedstawiciela na ślub sekretarza dworskiego Borcha, królewicz Karol, książę Kurlandii, młodego kasztelanica Kochanowskiego. Znakomitych wysłanników powitał hrabia przed bramą do zamku, w obecności dworu i zgromadzonych gości, z odkrytą głową, dragoni prezentowali broń, kapela grała a na murach armaty strzelały na cześć królewskich przedstawicieli.

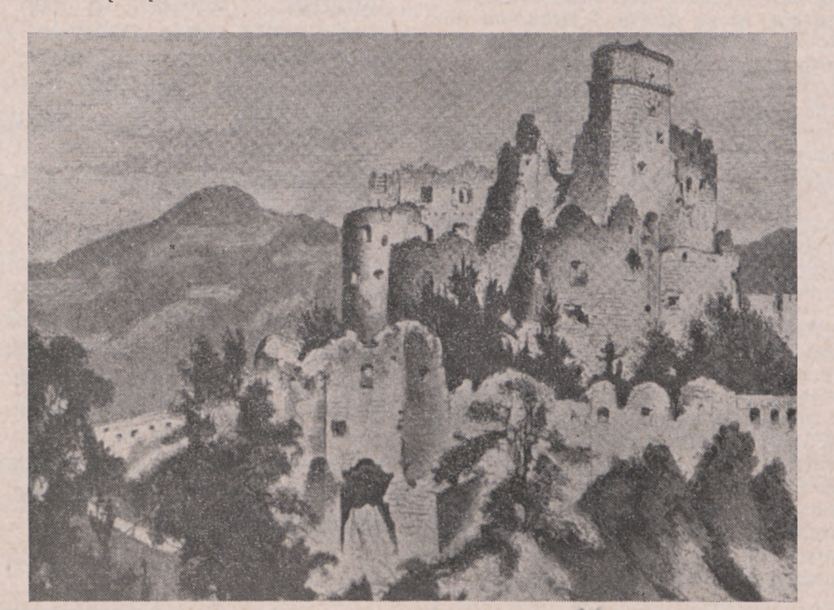
Po ich przybyciu rozpoczęły się ceremonie weselne. Podpisany został kontrakt ślubny, następnie udano się do kościoła rodzinnego w Lisowie do spowiedzi i Komunii św. Po śniadaniu rozpoczęła się długa procedura ubierania panny młodej. Asystowało przy tym 12 drużek i matka. Basię przyodziano w kosztowną białą suknię z satyny, na głowę włożono jej wianek z rozmarynu ze złotą opaską, na której wyryta była data ślubu i nazwiska. W wianku ukryty był dukat wybity w roku urodzin panny młodej, kawałek chleba — na szczęście, i kawałek cukru — „dla osłody życia małżeńskiego". Brak było klejnotów, ponieważ wierzono, iż „ile klejnotów na ślubie, tyleż później łez"...

Drużki rozdały wszystkim gościom bukieciki i autorka pamiętnika notuje drobny, godny zapamiętania, szczegół, o błaźnie dworskim, ulubionym przez nią Matence, który stał osowiały, chwilowo zapomniany, bez bukiecika weselnego. Franciszka, pragnąc udobruchać przywiązanego do niej dworzanina, oddała mu połowę swego, przypinając bukiecik kosztowną szpilką. Usłyszała w zamian jedną z przepowiedni błazna — „Franulka, pamiętaj, zatrzymam te kwiaty aż do twego ślubu i wtenczas, kto wie, jak będę tytułował ciebie..."

Stryj pana młodego, zakonnik ojciec Albert, dawał ślub. Sekretarz królewski Borch i wysłannik królewicza Karola, kasztelanic Kochanowski, prowadzili Basię do ołtarza. Starostę radomskiego wiodła wojewodzina Małachowska i Franciszka. Kapela zamkowa grała „Veni Creator", sprowadzeni z Warszawy pieśniarze włoscy śpiewali, marsza weselnego, armaty na murach strzelały na wiwat — hrabianka Basia została starościną radomską, panią Świdzińską.

Uczta weselna rozpoczęła się toastem „z beczki wina panny Basi", przywiezionej z Węgier przez hrabiego w roku urodzin panny młodej. Każda z córek miała taką beczkę. Na zakończenie zaś pito stuletnie wino z kielicha w kształcie kruka, pochodzącego rzekomo z czasów założycieli rodu — rzymskich Corvinusów.

Ze zmrokiem rozpoczął się bal. Naprzód tańczono polonezy i menuety, później zaś żwawe mazurki i krakowiaki. O północy pannę młodą zabrano na „oczepiny". Matka zdjęła wianek z rozmarynu a wojewodzina Małachowska nałożyła koronkowy czepek — symbol godności stanu małżeńskiego. Młoda matrona po oczepinach zatańczyła drabanta z wysłannikiem królewskim — taniec przywieziony do Polski przez Sasów. Z kolei poloneza ze wszystkimi obecnymi mężczyznami, a na ostatku z ojcem, który po tańcu oddał córkę zięciowi.



Ruiny zamku w Maleszowie (Fot. B. Elas)

Po weselu młodożeńcy wyjechali do majątku starosty, Sułgóstowa. Osiemnastoletniej starościny (tak ją już wszyscy teraz nazywali, włącznie z rodzicami) nie chciał jednak wypuścić z Maleszowa kapitan dragonów dworskich, dopóki starosta nie dał mu pierścienia na znak, że przywiezie żonę z powrotem do rodziny. Wtenczas dopiero opuszczono most zwodzony. Przy ogólnym płaczu (nawet i hrabiego ojca) karety podążyły do Sułgóstowa.

Pojechała z młodymi i Franciszka, która następnie w pamiętniku opisała powitanie małżeństwa przez husarię w Sułgóstowie. Powitanie było uroczyste z chlebem, solą i kluczami dla młodej starościny, która po raczej prostym trybie życia w rodzinnym Maleszowie, została nagle panią wykwintnego pałacu.

Tu Franciszka notuje ciekawy szczegół skosztowania po raz pierwszy kawy. W zamku maleszowskim kawy nie pili, rodzice jej nie lubili, podobno miała źle działać na oczy... Kawa była wówczas znana w Polsce od z górą pół wieku. Sobieski zapoznał się z nią pod Wiedniem, Kulczycki otworzył pierwszą kawiarnię. Młoda Krasińska delektowała się po raz pierwszy przysmakiem w pałacu zamężnej siostry.

Po powrocie do domu, zastała jeszcze część gości weselnych. Był jeszcze nawet wysłannik królewicza Karola, kasztelanic Kochanowski. Żywiąc od dłuższego czasu cichy podziw dla swego panieńskiego bohatera, Franciszka z przyjemnością przebywała w towarzystwie młodego, przystojnego i wykwintnego kasztelanica. Słuchała godzinami o królewiczu Karolu w Kurlandii, o balach urządzanych na jego cześć przez swego wuja Lubomirskiego, wojewodę lubelskiego, o życiu na dworze królewskim, na którym Kochanowski przebywał przy boku królewicza.

Po tych rozmowach kasztelanicowi musiała wpaść w oko urodziwa panna. Notuje ona jednego dnia w pamiętniku przypadkowo podsłuchaną rozmowę Kochanowskiego z ojcem, której treścią były oświadczyny — o jej rękę. Hrabia przyrzekł młodzieńcowi rychłą decyzję, o którą kasztelanic naglił. Następnie wydał ciche polecenie szambelanowi...

W czasie obiadu wniesiono pieczeń. Kasztelanic zbladł... — na półmisku leżała gęś — w czarnej polewce...

Nikt nie tknął półmiska, za wyjątkiem dworskiego błazna Matenki, który półgłosem, lecz dość głośno, by kasztelanic słyszał, powiedział: — „Twardy to kąsek, ale musi być strawiony..."

Odprawiony w ten sposób adorator wyjechał z maleszowskiego zamku, bez pożegnania z obiektem swych konkurów.

W pamiętniku Franciszka wyłuszcza podane jej przez rodziców powody podania Kochanowskiemu czarnej polewki: za młody, nosił tylko tytuł zmarłego ojca — powody używane, z pewnymi odmianami i dzisiaj. Ale najważniejszym powodem, z którym hrabianka najzupełniej zgadzała się, był sposób jego oświadczyn, zamiast oświadczać się o rękę córki hrabiego, zamiast zrobić to jak starosta radomski przez wpływowych krewnych i przyjaciół. Ponadto, wbrew zwyczajom, domagał się natychmiastowej decyzji rodziców, a więc otrzymał z tej czarną polewką...

Niskie stanowisko Kochanowskiego w sferach arystokracji stało w kolizji z codziennymi prośbami o „dobrego męża", które Franciszka, z polecenia matki, dołączała do modlitw począwszy od wieku lat szesnastu.

Epizod czarnej polewki dla kasztelanica Kochanowskiego schodzi z kart pamiętnika z przyjazdem do Maleszowa ciotki z mężem, wojewodą lubelskim. Oboje zachwycają się urodą Franciszki, porównując ją do słynnych trzech piękności Warszawy: panny Wessel, pani Potockiej i księżnej Sapieżyny. Wojewoda szczególnie szeroko opowiadał o Warszawie, dworze królewskim, balach i przede wszystkim — o królewiczu Karolu. Niedwuznacznie, książę Lubomirski wysuwał przy tym tezę możliwości zdobycia tronu polskiego przez księcia Kurlandii. Franciszka, zapatrzona w swego bohatera, przyklaskuje temu w pamiętniku i dodaje: „czy go kiedy spotkam?"...

Sposobność ta wzrosła ze zgodą rodziców, po namowach Lubomirskich, na wysłanie hrabianki do szkoły, do Warszawy. Zdecydowano się na modną wówczas szkołę Madame Strumle, przy ulicy Bednarskiej. Co prawda najstarsza siostra, Basia, ukończyła nauki u Sióstr Wizytek, niemniej Franciszka nie ukrywała zadowolenia, że jej tam nie wysłano. Madame Strumle okazała się jednak równie surowa jak zakonnice. Miała około 20 dziewcząt z najlepszych rodzin, podlegały one ścisłym regułom, które niezbyt przypadły do gustu młodej Krasińskiej.

Dziewczęta uczyły się francuskiego, niemieckiego, tańca, rysunku, muzyki i haftowania. Codziennie zakładano im na plecy przyrząd w kształcie krzyża, „by prosto stały" a stopy kontrolowane były specjalną maszyną, „by były proste". Żadnych mężczyzn nie wpuszczano za bramy szkolne, nie zatrudniano nawet męskich służących, co cierpko notuje autorka w pamiętniku.

Zapiski są coraz rzadsze, monotonny tryb życia szkolnego i używanie wyłącznie francuskiego sprawia, że pamiętnik nie zawiera wiele ciekawych relacji z tego okresu.

Natomiast z opuszczeniem pensji Madame Strumle, w której Franciszka przebywała od 6 kwietnia do 28 grudnia 1759, autorka wraca do panieńskich zwierzeń. Ciotka, wojewodzina lubelska, bierze ją do swego pałacu na Krakowskim Przedmieściu.

Rozpoczynają się serie wizyt u znakomitych matron warszawskich. U wojewodziny ruskiej rozmowa w salonie prowadzona była po polsku, u księżnej Lubomirskiej wymieniano ploteczki po francusku. U wdowy po kasztelanie krakowskim, pani Poniatowskiej, Franciszka poznała jej syna, Stanisława, który jednak nie wywarł na niej szczególnego wrażenia...

Z kolei udała się z ciotką do wojewodziny podolskiej, pani Rzewuskiej, która prawiła Franciszce moc komplementów. Madame Brühl, żona wszechwładnego ministra krakowskiego, była też dla niej bardzo łaskawą. Również pani Sołtykowa, wdowa po kasztelanie sandomierskim, głośno chwaliła wdzięk i urodę panny z Maleszowa.

Ta jednak była rozczarowana. Pisze w pamiętniku ze smutkiem, że wbrew nadziejom, nigdzie, w tych licznych i okazałych salonach stolicy, nie spotkała tego, o którym marzy coraz częściej i — śmielej. Królewicza Karola. Nazajutrz był jednak Nowy Rok 1760 i wielki bal maskowy.

Tadeusz Ziarski

(Zakończenie: **„Poranek czwartego listopada"** nastąpi)

LISTY

KSIĄŻKI O WALKACH MARYNARKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zaciekawieniem (jak zwykle) przeczytałem recenzję p. J. B. o „Granatowej załodze" Cygana. Recenzja ta zachęciła mnie zresztą do samej książki i postaram się przeczytać ją w najbliższych dniach.

Powracając jednak do recenzji, pozwalam sobie najuprzejmiej zwrócić uwagę Pana Redaktora na pewną nieścisłość, jaka się tam zakradła. Pisze mianowicie Pan Redaktor: „...Natomiast zapisek z frontu nie ma. Tę dotkliwą lukę wypełnia odważnie marynarz Wincenty Cygan, którego „Granatowa załoga" powstała ze zdziwienia, że nikt dotąd z Polaków nie opisał wojennych przygód na morzu".

Otóż nie jest to zgodne z rzeczywistością, gdyż ja sam wydałem trzy książki marynistyczne, a mianowicie: „Najpiękniejszy rejs" J. Papugi, „Dokąd idziemy" S. Mayaka i „Wierny okręt" J. Bartosika. Stanowi to rodzaj serii, zwłaszcza że każda z tych książek jest inna.

Różni są również i autorzy. J. Bartosik to oficer Polskiej Marynarki Wojennej (obecnie służy w Royal Navy na wodach chińskich). Słyszeliśmy o nim niedawno w sposób bardzo pochlebny, o jego zachowaniu się jako dowódcy jednostki R. N.

Mayak — człowiek tzw. „prosty", bez wykształcenia, ale o ogromnej dynamice i dużym zmyśle obserwacji. Jedyny chyba wypadek: redaktor i wydawca periodyku na okręcie wojennym polskim, będącym w akcji. Mayak wyjechał do Stanów Zjednoczonych i jak mi wiadomo pozostał tam na stałe.

Wreszcie najciekawszy typ Jan Papuga. Również bez wykształcenia (przynajmniej w tamtym okresie 1945-1946). Pióro niewyrobione, ale pisze z ogromnym urokiem bezpośredniości. Wynalazł go dr Grydzewski, który drukował kilka jego opowiadań. Liczyliśmy, że wyrobi się z niego jakiś polski Jack London. Wyjechał do Polski i nie słyszałem o nim więcej.

„Najpiękniejszy rejs" ukazał się w 1946 roku i przypominam sobie dobrze, że 7 marca 1946 roku — a więc równo 10 lat temu — odbierałem osobiście z drukarni kilkaset pierwszych egzemplarzy.

W wydanie tych książek włożyłem dużo sentymentu i chciałem uczcić Marynarkę, najcięższą chyba ze służb wojennych. O ile mi wiadomo, jest to największa polska „seria marynistyczna" w ogóle, gdyż przed wojną ani w okresie niewoli tematy marynistyczne nie były u nas popularne.

Poza tymi książkami wydane zostały na emigracji: „Ostatni rejs" J. Kochańczyka i „Dziękuję ci kapitanie" A. Fiedlera.

Z wyrazami szacunku i poważania

Józef Olechnowicz
(Orbis /London/ Ltd.)

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust.) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney o r a z **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA: Mme E. Kułakowska**, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **DANIA: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **FRANCJA: Ks. K. Stolarek**, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Prenumerata kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto. **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück. Prenumerata kwart. 8 DM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y. **M. Kijowski**, 320 North Ave., Dunellen, N. J. **S. J. Rozmysłowicz** 5262 Proctor, Detroit 10, Mich. **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mme B. Gierszewska**, 4 Rue Simplon, Fribourg. konto poczt. No 11a 5275 - Fribourg. Pren. kwart. 5.00 fr. **SZWECJA: Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. **WŁOCHY: Mme Z. Bulhak Jelska**, via Salaria 300 C, Roma. W sprawach prenumeraty i ogłoszeń prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734